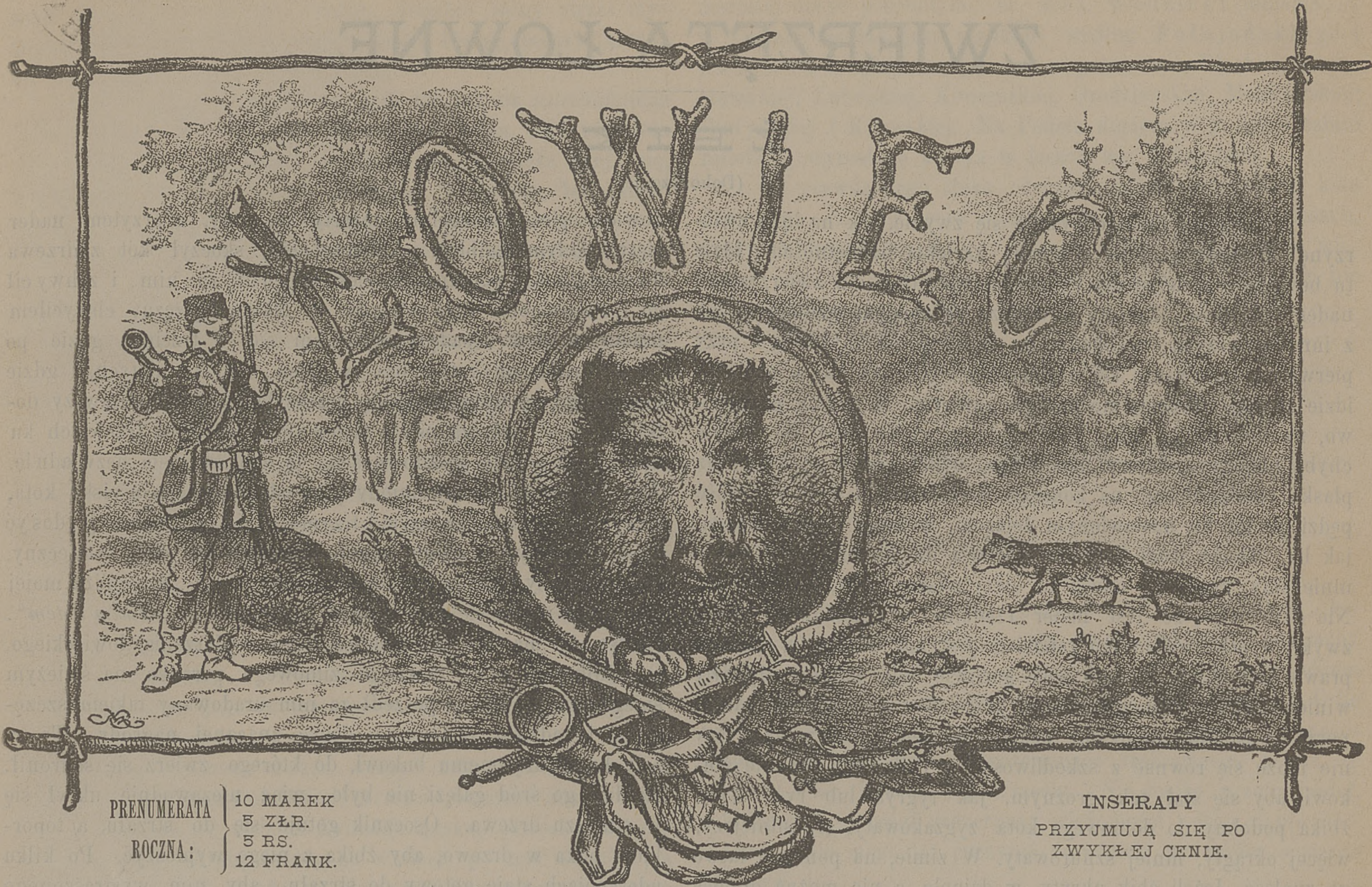
Nr. 2. Lwów, dnia 1. Lutego 1880. Rok III.



PRENUMERATA ROCZNA: 10 MAREK, 5 ZŁR., 5 RS., 12 FRANK.

INSERATY PRZYJMUJĄ SIĘ PO ZWYKŁEJ CENIE.

WYCHODZI Z POCZĄTKIEM KAŻDEGO MIESIĄCA.

SPRAWY TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO.

Dnia 7go Stycznia 1880 r. odbyło się posiedzenie Wydziału Towarz. łowieckiego pod przewodnictwem hr. Romana Potockiego. Obecni byli: hr. J. Drohojewski, Dr. A. Henzel, Dr. F. Kratter, Dr. E. Roiński, Dr. Z. Rieger, W. Zontak.

Prócz innych administracyjnych uchwał, postanowiono zwołać walne zgromadzenie Towarzystwa łowieckiego w Lutym; ogłosić w „Łowcu“, że ława targowa Tow. łowieckiego pozostaje nadal, z tem jednak zastrzeżeniem, że ze sprzedaży zwierzyny odpada 10% na rzecz podatku i obsługi; przesłać hr. Kazimierzowi Wodzickiemu adres dziękczynny za nader gorliwe popieranie celów Towarzystwa i zasilanie cennemi swemi pracami „Łowca“. W końcu wybrano trzech z grona członków Wydziału, mających zająć się redakcyą i umotywowaniem podania do Wys. Sejmu względem wprowadzenia w użycie kart myśliwskich (Jagd-Karten), służących jako upoważnienie do polowania dla każdego z myśliwych.

Wpisali się do Towarzystwa łowieckiego:

Błażowski Marjan baron.
Cywiński Andrzej.
Demianowski Zygmunt.
Górski Władysław.
Gumiński Ignacy.
Janicki Jan.
Kieszkowski Zdzisław.
Kownacki Antoni.
Krasicki J.
Kratter Fryderyk.
Łoziński Stefan.
Miliński Józef.
Niementowski.
Niezabitowski Witold.
Oraczewski Onufry.
Ornatowski Feliks.
Orzechowski Bolesław.
Pawlas Juljusz Dr.
Pawlikowski Stanisław.
Stopczyński Piotr.
Tarnowski Zdzisław hrabia.
Wierzchlejski Kazimierz.
Wojczyński Alfred.
Wolski Franciszek.

ZWIERZĘTA ŁOWNE.

ŻBIK.

(Dokończenie).

Łowy na żbika odbywają się zwykle, jak na inną zwierzynę, z nagónką, i to z pewną zaciekłą namiętnością, idzie tu bowiem o zwierzę dla człowieka wstrętne, dla zwierzostanu nader szkodliwe. Zresztą łatwiejsze ze żbikiem spotkanie, jak z inną zwierzyną, wychodzi on bowiem na myśliwego przy pierwszem odezwaniu się nagónki, prędzej jak lis, a gdy pies idzie za jego tropem, można być pewnym, iż skoczy na drzewo, na którem go pies oszczekuje, a wtedy staje się o tyle chyba niełatwym łupem myśliwego, o ile trudno go dostrzedz płasko rozciągniętego na konarze. Żarłoczność i krwi chciwość pędzi go też ku nastawionym żelazom, w które łatwiej wpada, jak lis. Tenże srogi przymiot sprawia, iż jak już wyżej wspomnieliśmy, rzuca się nawet na swój własny płód, i pożera go. Nie dziw więc, że jest nader rzadkim, ale natomiast wcale zwykłym pokrewnym mu rabusiem jest kot zdziczały, równie prawie szkodliwy, którego więc gorliwie tępić należy. Myśliwy winien żbika i kota zdziczałego prześladować i tępić w każdej porze i wszelkimi środkami, pożytek bowiem z niszczenia myszy nie może się równać z szkodliwością. Tylko siły brakuje żbikowi, aby się stał tak groźnym, jak tygrys lub ryś. Trop żbika podobny do domowego kota zygzakowaty, ale silniejszy, więcej okrągły, mniej sznurowaty. W zimie, na ponowie łatwo go znaleść. Jeżeli żbik ukryty w dziuple, a nie można drzewa bez wiedzy i zezwolenia właściciela ściąć, to nie pozostaje nic innego, jak, mając psa z sobą, zapalić kłak z siarką wewnątrz, i włożyć go w otwór. Ale natychmiast należy być gotowym do strzału, wnet bowiem żbik umyka, ubija się go więc zaraz przy pojawieniu. lub następnie w skutek gonu i oszczekiwania psa. Wykrywszy go w dziuple, a nie chcąc użyć sposobu wykurzenia lub ścinania drzewa, trzeba postawić jednego myśliwego na czatach, drugiego zaś posłać po żelaza i to tyle, ile otworów jest w drzewie. Ustawia się je tak, aby żbik wychodząc z drzewa musiał na nie nastąpić lub skoczyć. Zelebor mówi: „Najtrudniej wypędzić żbika z dziupła, dwóch lub trzech silnych i odważnych ludzi, mając ręce uzbrojone w twarde rękawice, a prócz tego szmatami obwinięte, muszą się dobrze wysilać, aby kota wydobyć i wrzucić do wora“. Słusznie Brehm nie wierzy w ów sposób łowienia tak drapieżnego stworzenia, jakim jest żbik, aż nadto bowiem wiadomo, że z nim nie ma żartów. Winckell poleca myśliwym wielką ostrożność, nie szczędzić powtórzonego strzału, jeżeli pierwszy na śmierć nie raził, i zbliżać się ku żbikowi tylko wtedy, gdy się ruszyć nie może, i wtedy nawet naprzód silnem uderzeniem w nos o śmierci jego się zapewnić, a potem dotykać. Zraniony żbik może być nader niebezpiecznym. „Strzeż się łowcze — mówi Tschudi — i dobrze bierz bestyę na cel, gdy tylko skaleczona, rzuca się pryskając i pieniąc, z grzbietem i ogonem wysoko podniesionym, na myśliwego, ostre pazury zatapia głęboko w mięśnie, szczególnie w pierś, że nie łatwo je oderwać, a rany takie nie łatwo się goją. Znane są opowieści spotkania z tem zwierzęciem, zwykle tragicznie zakończone. Hochberg opowiada, iż pewnego razu wyszedł na kaczki, pies jego zwietrzył w gęstej trzcinie żbika, i zapędził go na drzewo. Poczem oszczekiwał go w koło, był to bowiem pies szczególnie zażarty na koty, a przytem nader cięty. Gdym nadbiegł i zmierzył się, skoczył kot z drzewa ku gęstwinie i pomknął, a pies popędził za nim, i zchwycił go. Niepodobna było strzelić w takim gąszczu, chwyciłem przeto w dłoń szpadę i posunąłem się w trzcinę, gdzie po chwili znalazłem kota i psa w jeden kłąb zwiniętych, i gdzie pierwszego na wskróś szpadą przeszyłem. Żbik uczuwszy dotkliwą ranę, puszcza psa, i rzuca się z szpadą w trzewiach ku mojej ręce z taką gwałtownością, iż ona zwisnęła bezwładnie. Ale w tejże chwili uwolniony pies od strasznego uścisku kota, chwyta go zębami za szyję i trzyma silnie, miałem więc dosyć czasu wydobyć z niego szpadę, i zadać mu cios ostateczny. Brehm przywodzi nader tragiczny wypadek: „W pobliżu mojej ojcowizny zowie się dziś jeszcze pewien rewir „*dzikim kotem*“. Nazwę tę ma on od nieszczęsnego wydarzenia łowieckiego. Osocznik wyśledził pewnego zimowego poranka na świeżym śniegu tropy żbika, i poszedł za nim uradowany takiem szczęściem i nadzieją podówczas dosyć znacznej nagrody. Tropy szły ku wydrążonemu bukowi, do którego zwierz się schronił. Nigdzie go śród gałęzi nie było, więc niezawodnie ukrył się w wnętrzu drzewa. Osocznik gotuje się do strzału, a toporkiem puka w drzewo, aby żbika z niego wypłoszyć. Po kilku uderzeniach staje gotowy do strzału, aby nim wystraszonego gościa powitać śmiertelnie. Naprożno — nie jawi się! Puka znowu — nie ma go. Puka więc po raz trzeci, ale nie zdążywszy jeszcze podnieść strzelby w celu złożenia się, czuje żbika siedzącego na swoich plecach, który w jednej chwili zerwał mu czapkę futrzaną z głowy, wpoił ostre swe pazury w jego głowę, a zębami szarpał chustkę u szyi. Przerażony puszcza strzelbę na ziemię, zapomina o własnej obronie, i usiłuje jedynie ochronić szyję i twarz od strasznych ciosów rozsrożonego zwierzęcia. Przytem przyzywa rozpaczliwym głosem pomocy swego syna w lesie się znajdującego. Kot rozdziera mu ręce, wygryza twarz, rozszarpuje chustkę. Wołanie jego coraz żałośniejsze, trwoga coraz większa. Wreszcie głębokie wżarcie się w szyję powala go na ziemię. W takim stanie znajduje go syn, z kotem siedzącym jeszcze na nim, i rozdzierającym mu plecy. Usiłuje spędzić rozjuszone zwierzę, wali w nie toporkiem. Kot pryska, ale jeszcze żażarciej rwie ciało swej ofiary w kęsy. Wreszcie uderza toporem w głowę i zabija rozszalałego potwora. Hałas ściągnął w to miejsce przechodniów, rannego bez przytomności odwieziono do domu, na razie opatrzono rany, jak było można i posłano po lekarza. Tymczasem rozszarpany odzyskuje przytomność, i opowiada w krótkich i urywanych słowach szczegóły srogiej walki. Nadjeżdża lekarz, i wszystko czyni w celu sprawienia choremu ulgi w cierpieniach, ale tego samego jeszcze dnia kona on śród najokropniejszych męczarni“.

Szczególnie wrogim jest żbik dla psów, rzuca się na nie zjadliwie, pazurami szarpiąc oczy, a zębami wpijajac się w ciało. Tak walczył w jurajskich górach kocur leżąc na grzbiecie zwycięsko z trzema psami, z których dwom pazury głęboko wraził w pyski, a trzeciego szarpał zębami. Była to walka, przy której rozwinął zasoby niesłychanej dzielności i zręczności, a

przytem nie małej roztropności, tym bowiem tylko sposobem mógł się ochronić od zębów psich. Dopiero celny strzał myśliwego, przeszywający na wskroś srogą bestyę, położył koniec walce, i ocalił ciężko poranione psy.

Przed nagónką wynosi się żbik tak jak lis ostrożnie idąc wolnym truchtem, przystaje i wysłuchuje głosu. Gdy nie zdoła już, zachwycony na ziemi, przed okiem człowieka ukryć się, zaczaja się w trawie, chroni w jamę, w dziupło, lub skacze na drzewo, przyciska się rozciągnąwszy płasko do gałęzi przy samym pniu, i często nie bywa dostrzeżony, zwłaszcza w lecie. Najczęściej jako nader płochliwy zjawia się po pierwszych okrzykach nagónki.

W zimie tropi się żbiki na ponowie, aż do jam lub drzewa, gdzie się ukryły, wypędza za pomocą psa albo osacza, i strzela. Także można się z nimi spotkać na pewne, stojąc pod wiatrem i naśladując pisk myszy lub ptaszka. — Jeżeli się schronił do jamy borsuczej lub lisiej, to trzeba użyć jamnika. Naprzód wszystkie otwory zakłada się sieciami, następnie wpuszcza jamnika, a wyżła trzyma na sznurze, z którego łatwo go spuścić. Zwykle żbik rychło się pojawia, i bywa albo ubity lub żywcem w sieci złowiony. W przeciwnym razie puszcza się wyżła w trop, który go zapędza na drzewo. Rzadko daje się przez jamnika w norze osaczyć, w takim razie wykopuje się go jak borsuka. — Wreszcie łowiony bywa w żelaza denkowe, gdy pobyt jego w rewirze lub przemykanie doń są pewne. Miejsce potemu urządza się jak na lisa. Dobrze odczyszczone i odwietrzone żelazo włożyć należy w zagłębienie, posypać plewą i suchymi liśćmi, wreszcie narzucić ziemią. Jako ponętę zawiesza się codzień świeżego ptaka, patrochy zajęcze lub opieczoną wątrobę sarnią na widłach po nad żelazem, a z tyłu i po bokach okłada się chrustem. Żelazo przymocowane bywa łancuchem żelaznym. Witerunek podają Reumanu i Tschudi jednakowy, i jak twierdzą wypróbowany: zielonej miazgi psianki *(solanum dulcamare)* łyżeczkę od kawy z czubem — tyleż *foeniculum* — tyleż *marum verum (teucrium marum)* — wszystko drobno pokrajać, dodać pół łuta potłuczonego korzenia fijołkowego — razem zmięszać, i smażyć w 9 łutach świeżego smalcu gęsiego tak długo, aż maść żółtego (nie brunatnego) nabierze koloru. Po odstawieniu od ognia dodaje się dwa skrupuły kamfory, potem cedzi przez czystą płócienną szmatę do słoika, i przechowuje w miejscu chłodnem. Również łowią się żbiki w drzewie spadającem urządzanem na kuny, gdy się je ptakiem, wątrobą sarnią lub patrochami zajęczymi często smaruje.

Futro żbika mało u nas używane i poszukiwane, więcej zaś sprowadzane z północnej Ameryki czarne *Genoty* i brunatne *Babiny*. Używane jest ono do maszyn elektrycznych, a podagrzystom, reumatykom i hemoroidalistom sprawia w cierpieniach znaczną ulgę przykładaniem na zbolałą część ciała. Futro żbika noszone na gołych piersiach ma być bardzo pomocne u ludzi na wodną puchlinę cierpiących, noszone zaś przez ludzi wątłych sprawiać suchoty. -- Mięso żbika jest gorsze jak rysia, nie używa się go wcale. Sadło w surowym stanie ma smak wstrętny, rozpuszczone pali się wybornie w lampie. Żbik dostarcza w jesieni 4 do 6 funt. sadła.

Najdawniejszy ślad znajdowania się kotów dzikich w Polsce mamy w Święcickiego: *Topographia Masoviae. Warszawa 1634,* gdzie jest wzmianka, że w lesie Skwa się pokazują; Rzączyński powtarza tę wiadomość; Jarocki umieszcza go w puszczy Białowiezkiej, Andrzejowski i Eichwald w zachodnich prowincyach Rossyi, Stronczyński i Tyzenhauz uważają go za mieszkańca Litwy, Polski i Galicyi; Pietruski twierdzi, iż był on w górach Stryjskich dawniej dosyć pospolitym; hr. Kaź. Wodzicki mniema, iż w Tatrach bardzo jest rzadkim: według Połujańskiego i Kesslera znajduje się jeszcze w guberniach Płockiej, Augustowskiej, Lubelskiej, Kowieńskiej, Grodzieńskiej, Mohilewskiej; Wołyńskiej i Kijowskiej. Na Podolu dopiero w r. 1856 zabito młodego, wyrosłego kocura w lasach wsi Pokutyniec

Od prawdziwego żbika odróżnić należy zdziczałego kota domowego. Z tym dosyć często można się spotkać w lasach, nigdy on jednak nie dosięga wzrostu żbika, lubo o wiele większym jest od swojskiego kota. W złośliwości i dzikości nie ustępuje żbikowi. *J. Ł.*

CHART*)

PRZEZ

Alexandra Ubysza.

Zamierzając opisać tego psa, skreślić jego historyę, koniecznem jest mieć pod ręką albo dzieła traktujące, chociażby niezbyt wyczerpująco o tym przedmiocie, lub mieć przed okiem okaz, noszący na sobie wybitną cechę swej pierwotności. O ile mi wiadomo, żaden z uczonych badaczów przyrody, nie pozostawił dzieła obszernie i wyczerpująco traktującego o tem ze wszech miar ciekawem zwierzęciu. Nie mając przeto źródeł, z których bym mógł zaczerpnąć wiadomości o jego stanie pierwotnym, nie mogę też poczynić dosadnich wniosków o stanie obecnym.

Rodzaj psów w skutek dowolnego lub mimowolnego krzyżowania się jednego gatunku z drugim, uległ tak wielkiej przemianie, iż niepodobieństwem jest opisywać odrębnie i szczegółowo jeden rodzaj bez dotknięcia drugiego.

Pierwowzoru chyba w charcie szukać należy, ten rodzaj psa jedynie zachował pierwotne swe cechy tak pod względem kształtów jakoteż wyłącznych właściwości. Jakim był chart przed tysiącem lat, takim pozostał i pozostać musi, jeżeli ma posiadać przymioty usposabiające go do łowów, mianowicie rączość i wytrwałość. Wszelkie krzyżowania tego rodzaju psów z innymi, okazały się niepożytecznemi. Charty mięszańce nie dają się użyć do pościgu zajęcy, sarn, lisów a nawet i wilków.

Anglicy słynni z wytwarzania nowych rodzajów psów, nie zdołali wytworzyć psa, któryby zmieniwszy właściwe chartom kształty, był mimo tego chartem w całem tego słowa znaczeniu. Udało im się wprawdzie doprowadzić ten gatunek do wzrostu mikroskopicznych rozmiarów, lecz kształt powierzchowny pozostał najczystszy, pierwotny. Są one wszakże nie do użycia, albowiem chociaż posiadają (gdy wścigane) szybkość biegu równającą się biegowi większych królików, jednak nie mają tyle siły w cieniuchnych mordeczkach i szczękach, by niemi, mówiąc językiem łowieckim, wzięły, czyli złapały. Rasa

*) Rozpoczynamy druk obszernej pracy, która jakkolwiek nie ma może dostatecznej umiejętnej i naukowej podstawy, zaleca się wszakże badawczem rozsnuciem rzeczy. Nie na wszystkie twierdzenia można się zgodzić z autorem, ale trzeba mu przyznać, że umiał wnikać w tajniki, które może nie zupełnie rozjaśnił, ale dał niezawodnie podstawę do dalszych dociekań. Będzie ta praca, ile nam się zdaje, dosyć ważnym przyczynkiem dla nauki, która nie jedno z niej przyjmie do zapasu swoich zd obyczy, nie jedno też jako nieużyteczne od siebie odtrąci. Oddajemy ją pod sąd naszych badaczów z wiarą, że ogłaszamy rzecz istotnie dla nauki i dla praktycznego łowiectwa pożyteczną i pożądaną.

*

tych pokojowych charcików chyba do zabawy służyć może, lub — przez skrzyżowanie jej z rasą wielkich i ciężkich chartów, o czem niżej mówić będziemy — do wytworzenia jakiejś użytecznej dla myśliwstwa pośredniej rasy:

Pies w ogóle, zanim go człowiek przyswoił i użył do łowów, do których go natura odpowiednio przysposobiła, był zwierzęciem dzikiem. Jako takie dzieliły się psy pierwotnie na 3 rodzaje, mianowicie na:

1. Psy leśne.
2. Psy nadwodne.
3. Psy stepowe, polne, pustynne.

Każdy z tych rodzajów posiadał odmienne od reszty pobratymców kształty i własności, wyrobione pewnym rodzajem łowów, czyli szukania sobie pożywienia. Każdy z tych rodzajów instynktowo trzymał się swego boru, swego porzecza lub moczarów, a pies stepowy wiedząc, iż w borze szybkość jego nóg nie dostarczy mu dostatecznego żeru, iż nie umie pływać po wodzie za wydrą i ptakiem, lub nurkować za rybą, szukał pożywienia jedynie w puszczy. Jednem słowem natura dała każdemu zwierzęciu instynkt, który mu wskazuje tryb życia, sposoby żywienia się i zaradzenie sobie w każdej potrzebie.

I. Klasa. — Psy leśne.

K s z t a ł t z e w n ę t r z n y. Odpowiednio do klimatu szerść długa i gęsta dla ochrony od zimna i słoty. Budowa silna, osadzona na średniej wysokości, stosownie grubych nogach, Czaszka silna u głowy, przy której sterczy dwoje dosyć dużych, nie kłapciasto wiszących, lecz ostro stojących, znamionujących dobry słuch, uszów. Oko bystre, lecz stokroć bystrzejszy węch — wiatr, zwłaszcza gdy głód dokucza, wypróbowany w różnych porach, na białej i na czarnej stopie. Podobnie jak wilk o milę zwietrzy padlinę, a o kroków tysiące zwierzynę, którą zchwycić musi, powiadam musi, bo to dlań kwestya żywotna. Nie zwykł trudzić się daremnie. Jak wilk przez dzień i noc prześladuje swoją ofiarę, z tą jednak różnicą, że wilk i lis gonią cichaczem, dawny zaś pies dziki podobnie jak ogar dzisiejszy gonił pełnym głosem, i tem bardziej przerażał, rychlej nużył i chwytał pastwę. Prześladowane przez psa zwierzę słabsze, straszone znanym mu dobrze a wrogim głosem, wysilało się nad miarę w ucieczce, i padało rychło z znużenia. Żadne mu sztuczki nie pomagały, gdy umykało po ziemi, tropu nawet nawalnica dosyć nie zacierała, bystry wiatr wroga poczuje go choćby pod ziemią. Ważną, nawet bardzo ważną rolę u tych psów leśnych odgrywała morda, niezbyt długa, lecz silna, zbudowana w kształcie regularnego trójkąta, jako wyraz niepospolitej siły, mogącej jednem ściśnieniem zgruchotać nogę lub żebro, powstrzymać w najszybszym biegu uciekającego nawet jelenia. Paszcza obszerna z dwoma rzędami dużych, ostrych zębów, między którymi podnosiły się cztery kły, śmiertelne i głębokie zadające rany. Pies dziki żyjąc gromadnie, często też gromadnie szukał żeru. Ścigać niedźwiedzia, wilka, dzika było dla niego rzeczą zwyczajną, łowił bowiem i pożerał, co się nadarzyło, głód nie dozwalał mu wybierać łakocie. Osaczony niedźwiedź, gdy gromada zażartych prześladowców była liczna, po długiej zaciekłej walce, zawsze ulegał w końcu, okupując śmierć swoją trupami często licznych wrogów. Rozszarpany w sztuki żywił olbrzymiem swem ciałem dziką złaję, nie rzadko obierającej pole walki na swe legowisko.

Dziki pies całem swem zachowywaniem nie wiele się różnił od wilka, dwie tylko cechy bardzo go od niego wyróżniały, mianowicie głos i sposób noszenia ogona. Dzikie zwierzęta, a między niemi i pies turecki — wyłączna psów rasa — nie wydają głosu, który szczekaniem mianujemy. Jestto znamieniem charakterystycznem, również jak sposób noszenia ogona, pies go wznosi do góry, wilk włóczy za sobą w skutek właściwej budowy kości pacierzowej wraz z znaną sztywnością i nieruchliwością karku. Cecha ta jawną jest lubo w mniejszym stopniu nawet u psów, mięszańców z wilkami. Mięszaniec taki, gdy szczeka, wydaje z siebie głos jakiś chrypliwy, jakby przytłumiony, podobny raczej do jakiegoś krótkiego wycia. Nie wzniesie on też ogona, chociaż mniej pałkowatego, nigdy do góry z taką fantazyą i ruchliwością, jak czysty pies, gdy go w kabłąk zawinie. Takie oznaki czyli odrębności, widoczne są u psa aż do trzeciej krwi prawie.

Dziki pies, a raczej dawna jego czysta, a dziś oswojona rasa, już nie istnieje. Najdłużej czystą zachowała się w Szkocyi, Anglii, Danii, Szwecyi, Norwegii i w Niemczech. Obecnie czysta zaginęła zupełnie w skutek wytrzebienia lasów, a następnie mniejszy stan grubego zwierza przeważnie wpłynął na zatracenie owej rasy, zresztą także wynalezienie palnej broni.

W wiekach, w których człowiek tak jak zwierzę żywił się przeważnie mięsem zwierząt, pomimo całego sprytu właściwego ludom dzikim w tropieniu i łowieniu zwierzyny, w braku później używanych oszczepów, łuków lub wszelkiego rodzaju samołówek, ułatwiających mu zabicie lub złowienie zwierza; czuł się nieudolnym wobec szybkonogiego, płochego lub drapieżnego zwierzęcia. Widząc przeto psy dzikie tropiące i chwytające wszelkiego rodzaju zwierzęta, wpadł na praktyczny pomysł przyswojenia ich sobie i użycia do łowów. Nie potrzebujemy zapewniać, iż złowienie psów dzikich żywcem działo się jedynie wybieraniem szczeniąt z gniazd, poczem oswajano je i układano. Archeologia idąc drogą ścisłych badań wykryła, że w czasach nader zamierzchłych towarzyszyły w wędrówce koczujących ludów zwierzęta należące do rodu psów. Wykopaliska z czasów kamiennych i bronzowych wykazują oprócz kości ludzkich, wszelkiego rodzaju narzędzi i sprzętów krzemiennych także wyraźne kości tego zwierzęcia. Świadczą one dasadnie, jak dawno rodzaj tych zwierząt stał się domowym i przyswojonym.

Zapewne każda strefa, każdy kraj miał swoją rasę tych psów dzikich, nie wiele jednak kształtem różniącą się między sobą. Wnioskować można, że zwierzęta dotąd w stanie dzikim żyjące, jak wilki, lisy do tej pory wcale nie zmieniły swego pierwotnego zewnętrznego i wewnętrznego ustroju, ani też swych właściwości. Lis nigdy nie zmięsza się z psem, a wilk bardzo wyjątkowo Na zupełną przemianę lub też zagładę czystego rodzaju psa leśnego i psa nadwodnego, najbardziej wpłynęły ówczesne wędrówki narodów i późniejsze długotrwałe boje. Narody wędrujące z leśnego i górzystego kraju, osiadłszy u brzegów rzek, morza, jezior, jednem słowem osiedlając się na nizinach; przybywały tam z wszystkiemi swojemi zwierzętami, między któremi psy pierwsze zajmowały miejsce. Te z natury nie obdarzone przymiotami czyli właściwościami potrzebnemi do łowów po moczarach i ostrowach, mniej okazały się użytecznemi. Zapewne po wielu latach zdołał człowiek nowo osiadły przyswoić sobie zwierzęta tego rodzaju, o czem niżej jeszcze wspomniemy. W taki sposób poczęło się mięszanie dwóch rodzajów zwierząt tyle odmiennych od siebie powierzchownością i właściwościami.

Klasa II — Pies nadwodny.

Znajdował się w całej Europie, przebywając głównie u brzegów mórz, rzek, jezior — na moczarach i ostrowach. Nigdy prawie nie zapędzał się w bory na stromych górach rosnące, ani też na bezwodne, suche stepy lub puszcze. Z kąd czerpię owo mniemanie? Wskazówką dla mnie w tym względzie są właściwości tego rodzaju psów, jak i jego kształt zewnętrzny. również tryb życia i sposób żerowania, jednem słowem wszelkie oznaki, cechujące jego odrębność od psów leśnych i stepowych.

Usposobienie i cechy charakterystyczne. Więcej limfatyczny, spokojny, zimny skutkiem stałego przebywania nad wodami. Pożywienie jego składa się przeważnie z zimnokrwistych, z płazów lub jaj wodnego ptactwa, których skrzętnie poszukuje po sitowiach. Nie często udaje mu się złowić i spożyć zwierzę z krwią gorącą — a dowiedzionem jest, jak stanowczo wpływa na usposobienie rodzaj pożywienia.

Kształt zewnętrzny. Wzrost średni, budowa silna, skłonność do niepospolitej tuszy. Korpus długi, osadzony na krótkich silnych łapach, których międzypalce połączone z sobą błoną, rodzajem płetw, jak u wydry, ułatwiających mu pływanie po wodzie. Wiadomo, jak wielką rolę u ptaków wodnych odgrywa ich upierzenie Podobne znaczenie ma u psów wodnych szerść czyli włos. Pies taki nosi na sobie włos gęsty i długi, ogon jeszcze gęstszym i dłuższym włosem porośnięty. Włos ów ułatwia mu utrzymanie się na powierzchni wody, a przytem obfitość jego i puszystość chroni go od chłodu i przenikającej wilgoci. — Głowa nie wielka, a po obu jej stronach zwieszają się dwa długie kłapcie skóry. Nie łatwo się domyśleć ich właściwego celu. Podnieśmy jeden z owych kłapciów, a wnet przekonamy się o dziwnie kunsztownem ukształceniu tak zewnętrznem jak wewnętrznem tego organu słuchu. Dwa te kawały skóry, stanowiące pokrywę ucha, nie mogą z powodu elastyczności chrząstek wytężyć się sztywnie, jak ucho psa leśnego. Zakrywają jamy uszne i tworzą zarazem rodzaj klap ochronnych dla organu słuchu, osobliwie przy pływaniu po wodach, a najbardziej przy nurkowaniu. Wnętrze ucha u psa nadwodnego, w ogóle u tegoczesnych wyżłów, nie jest pokryte, jak u psów ostrouchych, krótkim ale gęstym włosem, który nie dozwala przystępu do organu słuchowego owadom i wszelkim obcym ciałom. Służą więc psu nadwodnemu za ochronę zwisłe, zewnętrzne pokrywy ucha. Najwięcej zaś charakteryzuje rodzaj psów, których przeznaczeniem przebywanie na wodach i nurkowanie w nich, pewna tłusta substancya, wytwarzająca się z mózgu, którą lekko powleczone jest ucho psa nadwodnego, czyli w ogóle psa tegoczesnego, obdarzonego wrodzonym popędem do przebywania na wodach. Substancya ta niemałą oddaje temu zwierzęciu usługę. Wydry zanurzając się stulają szczelnie płaskie swe uszy, i tem nie dopuszczają wciskania się wody do ich wnętrza. Jak owa ochrona organu słuchu właściwą jest tylko wydrom i bobrom, tak substancya, o której mowa, zalega w uszach jedynie psów nadwodnych, obecnie zaś wszelkich ras wyzłów z naturalnym popędem do wody. Ze wszystkich ras wyzłów najbardziej posiada ową właściwość, rasa wyżłów Kurlandzkich, i to ją najwybitniej wyróżnia od wszelkich psów leśnych i stepowych czyli chartów.

Mądra natura nie równo wyposażyła stworzenia, lubo te różnice na pozór nie są zbyt rażące, ale udzielając każdemu z tych trzech rodzajów psów odrębne właściwości, zakreśliła im odmienne pole działania, nie dozwalając się wyłamywać z pod tego prawa, a tem samem rozgatunkowała je wybitnie. Pierwotnie żaden z tych rodzajów psów nie mięszał się wzajem z sobą, i nie łączył tym sposobem odmiennych właściwości. Gdyby każdy z nich był pozostał w stanie dzikim, byłby dziś tak czystym, jak czystą jest rasa wilków, lisów i t. p. Zwierzęta te tem są w obecnej chwili, czem były w pierwszej chwili stworzenia, nie zmieniły wcale swej pierwotnej natury. Każdy rodzaj tych zwierząt instynktowo sam się konserwuje. Psów zaś pierwotny rodzaj, tak leśnych jak nadwodnych, jak już wyżej powiedziałem, zaginął zupełnie, dzisiejsze prawie wcale nie podobne do pierwotworów. Dzieła zagłady, czyli raczej przemiany dokonał człowiek. W czasie wędrówki narodów ludy przybyłe z Azyi, przywiodły z sobą rodzaj psów, tak powierzchownością jak właściwościami różnych od psów Europy. Po latach, może uawet po wieku, przyswoiwszy sobie owych przybyszów rodu psiego, zmięszały ich rasę z swoją, i wytworzyły rasę mięszaną, w której połaczyły się i zmięszały kształty i właściwości. I tak dalej trwało nieustanne krzyżowanie i mięszanie ras, aż w końcu zniknął całkowicie sprowadzony z Azyi pierwowzór, a zarazem czysta rasa psów. Równie też pożywienie przyczyniło się niemało do zatarcia właściwości tak pod względem powierzchowności jako też charakterystyki psiego rodzaju. Pies jest mięszanem stworzeniem, że tak jest istotnie, świadczy kształt szczęki i zębów, cechujący go jako zwierzę drapieżne, mięsożerne. W miarę, jak człowiek przestawał wieść życie koczownicze, poczynał stałe budować siedziby, uprawiał ziemię i żywił się jej plonem, a tem samem mniej był zniewolonym przebiegać knieje i puszcze w celu złowienia dzikiego zwierza, którego skórą się odział a mięso spożył; psy niegdyś używane do łowów coraz bardziej zalegały pole, traciły wiatr, wprawę, stawały się stróżami domów lub trzód. Jako żywność poczęto im dawać wstrętną dla nich i niewłaściwą strawę z płodów ziemnych, jednem słowem starano się przytłumić w nich naturalne skłonności. Aby strzegły zagrody, więziono je w wieloraki sposób jak niewolników, używając tylko niekiedy do łowów na drapieżne zwierzęta, niszczące trzody. Taki odmienny tryb życia musiał w końcu niekorzystnie wpłynąć na zachowanie pierwotnej tej rasy. Kształty, skłonności nawet barwa szerści znacznej uległy przemianie. W ogóle niewola wpływa bardzo na barwę szerści. W Przemyskiem, w miasteczku N. był ksiądz łaciński, któremu przed laty przyniesiono parę małych zajączków. Kazał je wpuścić do spichlerza. Po dwu latach ta para zajęcy wywiodła troje potomstwa. Gdy miejsce dla tej osady okazało się niedogodnem, najął ksiądz K. starą, pusto stojącą chatę i tam ulokował swój zwierzyniec. Z wiosną, w rok po zupełnem dojrzeniu tego małego potomstwa, i ono wywiodło dwoje młodych. Lecz — rzecz szczególna — to małe potomstwo urodziło się z szerścią wprawdzie nieodmienną od zajęczej, ale z dość dużymi, białymi płatami t. j. miejscami białą porośnięte szerścią. Po latach kilkunastu kolonia ta liczyła do 50 członków. Praojcowie już nie żyli, a żyjące i rozmnażające się w niewoli, coraz więcej miały na sobie bielizny tak, iż się zdawało, jakoby w króliki miały się przeistoczyć. Mięszania z królikami nie było, gdyż ksiądz i mieszkańcy zapewniali mnie, że od bardzo dawna w całem miasteczku królika wcale nie było. Trafiają się wprawdzie i między dzikiemi zwierzętami, w polu lub lasach żyjącemi, wyrodki z białą szerścią lub piórami, tak zwane albinosy, lecz są to wypadki nader rzadkie. W podobny sposób wyrodziła się rasa królików.

Niektórzy sądzą, jakoby psy miały się wyrodzić z wilków w niewoli. Twierdzenie to nie jest uzasadnionem, a sam widziałem w pewnej menażeryi troje wilków urodzonych w klatce,

pochodzących z rodziców równie w klatce urodzonych, które jednak pod każdym względem były czystymi wilkami. W tej samej menażeryi, a było to w roku 1857, w mieście Kolosvàr w Siedmiogrodzie, nawet w tej samej klatce, wspólnie z tymi samymi wilkami, widziałem dwoje dzikich psów, sprowadzonych ze stepów południowej Ameryki. Szerść była na nich żółtawo-bura, dość jednak krótka, budowa silna, uszy ostre, mordy spiczaste. Najbardziej je charakteryzował ogon na sposób psi w górę zadarty i zakręcony, oraz głośne i częste szczekanie, czego u wilków, lisów i szakalów nigdy nie słyszymy. Według mego zdania, stanowił pies od pradawna odmienną od wilków rasę. Rodzaj jego, żyjący wyłącznie w borach, był wprawdzie więcej zbliżony do wilka, lecz nie mógł się z niego wyrodzić. Pies nadwodny, praojciec dzisiejszego wyżła różnił się od psa leśnego naprzód trybem szukania pożywienia, jak już wyżej wspomniałem, następnie kształtem uszów, które natura utworzyła w wyżej wymieniony sposób, również mordy czyli trąby. U psa leśnego jest ona spiczastą, odpowiednią do chwytania i szarpania, u psa zaś nadwodnego tępą, owalną, przeznaczoną, tak jak u wydry z okrągłym pyskiem, tylko do chwytania. Pies wodny z natury wyborny pływak, gdy przeciwnie pies leśny ma widoczny wstręt do pływania po wodzie, rzuca się wprawdzie niekiedy w nią, i przepływa ją bystro, ale tylko ulegając ostatecznej konieczności, gdy tym sposobem chroni swe życie przed gwałtownie następującym nań wrogiem, lub w pogoni za ofiarą, upatrzoną na pastwę dla swego żołądka. Pies leśny zawsze w otwartym boju zdobywał sobie żer, pies wodny zaś raczej podstępem. Cichutko nocą podpływał pod śpiące wodne ptactwo, i chwytał, nim spłoszone ulecieć zdołało. Ileż to godzin przyczajony w sitowiu przeczekać musiał, zanim ostrożna wydra lub bóbr wypłynęły. W ogóle charakter psa nadwodnego nie tak dziki i zażarty, jak psa leśnego, więcej natomiast przebiegły i przemyślny. Wiatr czyli węch obadwa rodzaje posiadały silny, słuch jednak i wzrok psa wodnego o wiele bywał tępszy, już sam owisły kształt uszów naprowadza na to zda mi się niemylne mniemanie. Pierwotne psy leśne i teraźniejsze ogary jako potomkowie zmięszania się dwóch tych gatunków bardzo rzadko podlegają, i to chyba w późnej bardzo starości, głuchocie, gdy przeciwnie obecny wyżeł rasy czystej (kurlandzka rasa najwięcej, nawet zupełnie prawie podobna do dawnych psów nadwodnych) często już w drugiem polu, więc bardzo wcześnie, nawidzaną bywa tem kalectwem, czyniąc psa niezdolnym do polowania.

Domysły moje dotyczące zupełnego wyginienia psa leśnego nie zdają się być bezpodstawne. Jak wspominałem, historya wskazuje, że już w bardzo odległych wiekach pies stał się domowem zwierzęciem człowieka. Gdy nastąpiła wędrówka narodów, ludzie z własnej woli lub z innych przyczyn opuszczali siedziby swe czy to ze względu na klimat czy też z powodu braku paszy dla swych trzód, porzucali jałowe lub zbyt puste strony, odbywali wędrówki częstokroć bardzo dalekie w celu wyszukania sobie zakąta ziemi w cieplejszej leżącego strefie, odpowiednie dla chowu bydła posiadające warunki i t. p. Archeologia, opierając swe twierdzenia na dowodach, wskazuje, że dawne ludy przedsiębiorąc wędrówkę czyli opuszczając swe siedziby, obierały sobie, zakładając nowe, zawsze wzgórza, lub niezbyt strome podnóża gór, położone w pobliżu rzek, jezior i nizin z tej prostej przyczyny, że niziny w ogóle łatwiejszego dostarczają sposobu wyżywienia trzód, a wody rzek, jezior i strumieni do wyżywienia człowieka ryb, które bez wielkiego trudu, lada jakiem, najbardziej pojedyńczem narzędziem dają się złowić.

Gdy więc taki naród cały lub kilka jego pokoleń, opuściwszy swe dawne leśne siedziby, osiedlił się na nizinach, to miał on pewnie obok siebie, jako przedtem mieszkaniec borów, psa leśnego przyswojonego. Z nim razem osiadł w nowej siedzibie, w nizinie, gdzie do łowienia innego rodzaju zwierza trudno go było ułożyć, a nawet niepodobieństwem. Na moczarach prócz łosia nie było prawie innej grubej zwierzyny. Więc chyba zimą po lodach mógł taki pies gonić, latem i jesienią nie było do zwierzyny przystępu, bo ona przebywała na trzęsawiskach, ostrowach w koło oblanych wodą, do której pies leśny czuje wstręt wrodzony. Widzi się nieudolnym wraz z swoim nowo osiedlonym panem, któremu żywioł ten, w większej nagromadzony masie, wydaje się dziwnym, nie do przebycia. A głod im dokucza. Pies bezczynnym się staje wobec wodnego ptactwa, gwarnie dużemi stadami pluszczącego się na powierzchni wód, czuje również, iż nie jemu to złowić dużą rybę, niezbyt nawet szybko pływającą przy brzegu. Człowiek zdoła po niejakim czasie przyswoić sobie nowy, dotąd mu zupełnie obcy sposób przysporzenia sobie żywności, lecz zdołaż przekształcić naturę psa, który mu ma być w tem pomocnym? „Przypadek jest ojcem wynalazku“, mówi przysłowie. Nowo osiadły mieszkaniec takiej bagnistej okolicy, błąkając się często bezskutecznie za łupem po ostrowach i brzegach wód, zeszedł się może z tubylcem, psem nadwodnym w chwili, gdy tenże złowił bobra, wydrę, rybę lub jakiego nadwodnego ptaka. W spółce z leśnym psem swoim może mu się udało odbić łup szczęśliwszemu, czworonożnemu łowcowi. Zwrócił nań swą uwagę. Ostatecznie wybrał szczenięta psa tubylca, wychował go, przyswoił, ułożył, i użył do łowów. Pies leśny, wierny jego dotąd towarzysz, stał mu się odtąd nieużytecznym, niedbał oń, i pozwolił mu ginąć. Oto początek upadku czystej rasy psa leśnego. Następnie ginęły w skutek mięszania się z innym gatunkiem. Podobnie działo się, jak słusznie domniemywać się można, z psem nadwodnym, gdy z panem swoim opuściwszy strony rodzinne podążył w obce nie sprzyjające mu, najeżone szczytnemi, gęsto lasem porośniętemi górami. Tam on zaginął zupełnie, lub zmięszał się z psem leśnym. Ponieważ dziś już nie ma pierwowzoru, niepodobna przeto dociec, który z nich całkowicie zaginął lub tylko powierzchownej uległ przemianie, a wszelkie twierdzenie, iż ten lub ów gatunek psów — z wyjątkiem czystej rasy charta — jest takim, jakim był w pierwotnym swoim stanie dzikości, uważam za bezzasadne. Obecnie trudno stanowczo orzekać, iż pies który jest europejskiego, azyatyckiego, a wreszcie afrykańskiego lub amerykańskiego pochodzenia, tem mniej zaś, że w tym kraju są psy takie, w drugim inne. Wszystkie psy nasze są raczej mięszańcami różnych ras, pochodzą bowiem często z gatunków, jakich się nawet nie domyślamy. Wynikło to z owych dawnych, długotrwałych wojen prowadzonych z Turkami, Tatarami, Krzyżakami, z Rosyą i Szwecyą. Któż zaręczy, iż wówczas z nieprzyjacielską armią nie przywlekły się aż do Polski gromady psów azyatyckiego, a nawet afrykańskiego pochodzenia, i nie złączyły się z naszymi psami? — Dawni rycerze krzyżowi, spieszący dla wyzwolenia ziemi świętej z pod panowania Saracenów wiedli z sobą znaczny poczet dworzan, giermków, luzaków, a z nimi posworowane psy myśliwskie, ułożone do osadzania dzików lub niedźwiedzi. Ileżto z tych psów odbiwszy się podczas bitwy od zastępu krzyżowców, zapędziwszy się w głąb obcej ziemi, zbłąkało się, i na zawsze pozostało w obcych tych stronach? Jak w około okrętu krąży zawsze liczna gromada rekinów, wypatrująca, ażali przypadek lub śmierć naturalna którego z osady okrętowej, nie dostarczy im żeru; tak od najdawniejszych do

dzisiejszych czasów zwykły podczas wojny ciągnąć za armiami liczne kupy psów włóczęgów, którym instynkt odziedziczony od protoplastów drapieżności, każe się spodziewać bogatego łupu w rannych i zabitych koniach, które zażerając się między sobą, staczają utarczki z chmarami kruków i wron, szarpią i rozdzierają na pobojowisku trupy końskie, a nawet i ludzkie. Podobne wojny były dla psów hasłem do pospolitego ruszenia. O mil kilka, kilkadziesiąt nawet, porzuoiwszy zagrody swoje, ciągnęły psy gromadami lub pojedyńczo ku obozom wojennym. Wiedzione instynktem drapieżności, wietrząc świeżą krew już przelaną, a często dopiero przelać się mającą, żałobnem swem wyciem przejmowały smutkiem i niemiłem przeczuciem okoliczną ludność. Ztąd to urosł przesąd u ludu, że wycie psów zapowiada pomór lub wojnę. Po części zgadzam się z tem, że dawniej wyjące psy za zwiastunów wojny uchodzić mogły, albowiem wtedy w całym świecie łatwiej było o wojnę, jak o pokój. Zawsze, nawet najniewinniejsze ich wycie miano za zły prognostyk, lubo nie wyjąc wcale nie zdołały wstrzymywać dobytych mieczów. Wycie psów pojawia się niemal peryodycznie, poczynając się w miesiącu Lutym, a kończąc w Lipcu, a to z bardzo naturalnej przyczyny, bo z cieczki suk w tym czasie wypływające. W miejscu, w którem się taka suka znajduje, psy bez wyjątku obojej płci wyją przeraźliwie, okoliczne zaś często nawet o mil parę oddalone, wyją również dniem i nocą. Jestto wynikiem a oraz dowodem ostrości węchu psiego i wrodzonej lubieżności. Gdy w jesieni lub w zimie psy wyją w dzień, to czynią to z wyżej przywiedzionej przyczyny, lub nieochybnie w pobliżu znajduje się wilk, choćby tam najmniej był spodziewany, zdala bowiem przeraża on psa. Po zachodzie słońca psy czasem, jak to mówią ni ztąd ni zowąd, zbierają się gromadnie, i zadarłszy łby do góry, wyją i szczekają przeraźliwie. Dzieje się to z powodu wschodu krwawo zabarwionego księżyca w pełni. Im wyżej na horyzont się poddnosi, i traci swą czerwoną barwę, ucichają psy. Czy je barwa czerwona księżyca na wschodzie tak trwoży, czy tenże światłem swem magicznie wpływa na te zwierzęta — rzecz niedocieczona. Wtedy na *silentium* najlepiej harapem zadzwonić.

Wynalezienie i zastosowanie broni palnej do łowiectwa, popchnęło je na nowe tory. Myśliwi teraźniejsi już ani w części nie używają dawnej szalonej odwagi w braniu dzika lub niedźwiedzia na oszczep. Broń palna, bijąca ostro i celnie, wyrugowała wszystkie pierwotne przybory, salwujące życie człowieka w spotkaniu z dzikiem zwierzęciem. Coraz już mniej na świecie naśladowców owego, że się tak wyrażę, koniecznego niegdyś bohaterstwa. Niegdyś kto był prawdziwym miłośnikiem łowów na grubego zwierza, a pragnął dać dowody owego ze wszech miar szlachetnego lubownictwa, musiał używać oszczepu do pokonania dzika lub niedźwiedzia, często przepłacając zdrowiem a nawet życiem namiętność myśliwską. Nawet po wynalezieniu jej, broń palna nie mogła być zastosowaną do łowiectwa z powodu swych olbrzymich rozmiarów, a przeto ciężkości, i wreszcie z powodu potrzeby podpalania prochu na panewce lontem, była ona zatem bardziej bronią wojenną. — Nawet o wiele późniejsze branie zwierza na kordelas, było prawie koniecznością, albowiem broń palna, użyta do myśliwstwa, z krzemieniem u kurków, tak była zawodną, słabo i nie celnie bijącą i nie daleko nośną, iż myśliwy po strzale, choćby najspokojniej i najlepiej wymierzonym, zmuszonym bywał dla własnej obrony dobywać kordelasa i ugodzić nim rozwścieklone, ranione zwierzę. Jak się wyżej wyraziłem, zastosowanie broni palnej do myśliwstwa, popchnęło je na nowe tory — poczęła się nowa epoka — tak dla jego wykonawców czyli zwolenników, jak też dla współczynnych, a nie poślednią grających rolę psów. Do wzięcia dzika, niedźwiedzia, jelenia lub łosia na oszczep lub kordelas, trzeba było je naprzód osadzić w miejscu, a potem zadawać cios śmiertelny. W tym celu używany był pies duży, silny i odważny. Gdzież są owe psy sławne w Polsce i na Litwie, zwane drążkowymi; prawdziwe potomki pierwotnego psa leśnego? Trwały wieki i wywodziły się przez wieki. Po użyciu broni palnej okazały się mniej potrzebnymi, nie dbano już o nie tak bardzo, jak dawniej. Niepodtrzymywano tej rasy, psuto ją przypuszczaniem do suk psów z obcej pochodzących psiarni, a nawet i wilków, w końcu wyginęły zupełnie. Dziś, z małym bardzo wyjątkiem, nie ma już łowców ani tak zamiłowanych, ani pragnących wyłożyć znaczne koszta, aby, gdy już zupełnie wyginęła rasa psów drążkowych, wytworzyć przynajmniej inną jakąś rasę, mogącą choć w części zastąpić owych dzielnych niegdyś szermierzy. Lecz czyż warto? — zapytam. Wszak bory nasze popłynęły do Gdańska, do Francyi i Anglii. Grubego zwierza albo cichaczem wytłukli kłusownicy, lub też owe zwierzęta, nie znajdując potrzebnego spokoju do mnożenia się w wyniszczonych lasach, ledwo w jednostkach w nich przebywają. Czyż warto trzymać doborową psiarnię? Lada kundel trochę większy wytropi zwierza i napędzi na strzał myśliwemu. Osadzać go nie potrzeba. Z Teschnerówki, Drejsówki lub Expressa kulą, do tego explodującą nie trudno palnąć dzika poza ucho lub w komorę, a niedźwiedzia między ślepie, i — rzecz skończona. Wieki całe, jak wyżej powiedziałem nikła, wyradzała się rasa tych potomków psa leśnego, albowiem i natura przestaje dokonywać cudów, gdy jej przeszkadza niechętna lub nieumiejętna wola człowieka. W tych zdegenerowanych już potomkach, ginęły coraz więcej przymioty i właściwości dawnego miotu, i barwa szerści i kształty powierzchowne ulegały przemianie. W końcu zmięszanie się z rasą psów nadwodnych, wytworzyło nową rasę psów, które nazwano ogarami i gończymi. Nowa ta rasa nosi na sobie cechy charakterystyczne, które wyraźnie wskazują, że nie mogła być ani rasą pierwotną, ani też osobną, czwartą obok trzech wyżej wymienionych. Twierdzenie to pragnę udowodnić. Ogar choćby największy i najsilniejszy, za słabym byłby niezawodnie dla czasów, gdy prawie trzecia część Europy porośniętą była gęstymi borami, których ostępy zapełniała mnogość zwierząt o wiele przewyższających wzrostem i siłą najtęższego nawet ogara. To pewne, że dzik, niedźwiedź innymi były dawniej, a nawet jeleń, niedający się wziąć łatwo choćby kilku wilkom. Pies w stanie dzikim nie polował z nałogu lub przyjemności, w miarę głodu żerował, zaspokoiwszy głód, oblegał i spoczywał aż do chwili, w której znowu głód obudzał jego chucie Niepodobna były mu łowić tylko same zwierzęta bezbronne lub słabe, któreby on siłą fizyczną przemagał jak: sarny, zające, lisy, borsuki, żbiki i rysie. A gdy wypadek zdarzył, że całą dobę napróżno szukał mniejszej zwierzyny leśnej, a wyprawa odbywała się nie gromadnie, lecz w kilku lub nawet pojedyńczo, a głód srodze dokuczał, to nie pora była przebierać, trzeba było rzucić się na dzika, zforsować jelenia, lub pokonać nawet wstrętnego wilka, a głód zaspokoić. Zdołałże to uczynić z swoją choćby pierwotną silną, ale niezbyt imponujących rozmiarów powierzchownością. Do tego trzeba było siły nóg, piersi, trąby czyli mordy pozornie słabej, bo niezbyt długiej i zbudowanej w formie regularnego trojkąta, z ostrym kątem na przodzie. Miał też dwa wystające aż po za dolne wargi duże kły i zęby silne i ostre. Uszy zawsze sztywnie sterczące nadawały psu leśnemu postać dziko-rycerską. Słuch bystry był też mu w walce z równie drapieżnem

zwierzęciem wielce pomocnym. Natura go uzbroiła do wszelkiego rodzaju walki. — Przypatrzmy się teraz ogarowi. Cóż w nim znamionuje zwierzę mogące się obejść bez opieki człowieka śród borów i puszcz, czy ów wzrost aczkolwiek dosyć spory, ale osadzony na słabych w porównaniu z korpusem nogach, czy inne przymioty? Dobry może ogar do wytrwałego gonienia za zwierzem, ale do osadzenia go i zadławienia potrzeba większej siły i odwagi, a rozjuszonego dzika lub niedźwiedzia byle jaki rycerz na lisy pokonać nie zdoła. Czemże pochwyci przeciwnika, czy ową mordą owalną o słabych szczękach i chociaż ostrych ale niezbyt wielkich zębach? A uszy jego kłapciaste, które gdy lada kocur zadraśnie, wnet powodują ostudzenie zapału wojowniczego u ogromnego ogara tak, iż ów rwący się do dzika, lub szarpiący za kudły piastuna, umyka co tchu wobec pryskającego mu w oczy maciusia. Te uszy jego nieszczęsne, to istna plaga dla biednego ogara, i niedźwiedź szarpnie je łapą z łatwością, i dzik kłem je zachwyci, jakby rąbek szaty, i o czaszkę zawadzi. Nie ogar stworzony do głębokiego boru i grubego zwierza dawnych czasów. Te uszy u ogara wskazują najdobitniej jego mięszane pochodzenie — i to od psa nadwodnego. Owisłość ich, budowa wewnętrzna najwyraźniej świadczą o potrzebie chronienia organu słuchu od wciskania się wody. Pies urodzony i żerujący w suchych borach i puszczach nie był wcale niewolony do zanurzania się w wodzie w celu przysporzenia sobie żywności. Natura nic nigdy bez potrzeby nie utworzyła. Jak psu leśnemu stojące, tak nadwodnemu niezbędne są kłapciaste uszy do istnienia i działania w pewnym zakresie. Nie ma ani jednego zwierzęcia mięsożernego, żyjącego w stanie dzikim w Europie lub po za nią na suchym lądzie, któreby miało obwisłe, a nie stojące uszy. Jedynym okazem może musiał być pies nadwodny, czyli obecny wyżeł. To dowodzi, iż rasa tych psów stanowiła rasę zupełnie odrębną, a tak wielce różną od psów leśnych i stepowych. O ostatnich chcemy teraz obszerniej pomówić.

(Ciąg dalszy nastąpi).

POLOWANIA LETNIE I JESIENNE

PRZEZ

ARTURA BARTHELSA.

III. Wilki.

Wielka to bywa w sąsiedztwie uciecha,
I nieraz szlachcic całkiem traci głowę
I najważniejsze sprawy swe zaniecha,
Gdy się odezwą już wilki gniazdowe;
Ale ponieważ czas to jest roboczy,
A codzień w polu zatrudnienia wiele
Gospodarzowi na barki się tłoczy,
Więc zwykle na to biorą się niedziele,
Żeby i chłopek złatwiwsze swe sprawy,
Mógł z wolnem sercem stanąć do obławy.
Na dzień więc taki sproszeni sąsiedzi
Zjeżdżają tłumnie na punkt umówiony,
Każdy z orszakiem domowej gawiedzi,
Siak tak odzianej, ale uzbrojonej,
Ekonomowie, lokaje, pisarze
Stanowią zastęp strzelców niepośledni,
Z dodatkiem kuchty, który jak pan każe
Stawi się także w roli swej powszedniej,
Z króbką prowizyi oraz z jakim takim
W pomoc myśliwstwu na sznurku gończakiem.
A że już zwyczaj nie każe obławy
Rozstawiać wcześniej, jak w samo południe,
Ażeby wilki z nocnej swej wyprawy
Miały czas wrócić, zdążając marudnie
Z zdobytym łupem, więc aż do tej pory
Strzelcy też mogą nieco sobie spocząć,
I pozrucawszy zbyt ciężkie ubiory
Butelkę jedną i drugą napocząć,
O tem, o owem z sobą pobajdurzyć,
I coś przekąsić, i lulkę wykurzyć.
Pod karczmą zatem zwykle się rozkłada
Tabor, a widok zawsze malowniczy
Tych obozowisk: tam chłopów gromada,
I kilku szczwaczów z chartami na smyczy
Przy koniach swoich, tu kupka leśników,
I strzelców dworskich, wreszcie piękne grono
Obywateli, oraz urzędników,
Których na łowy z sąsiedztwa sproszono,
Jest tam i sprawnik, jest tam i stanowy,
Przyjechał nawet sędzia powiatowy.
Wszystko to spieki unikając wielkiej
Pod ściany karczmy, lub w cień drzew się chroni,
Kursują ciągle z staruszką butelki,
A każdy z fajką lub cygarem w dłoni
Spoczywa sobie, i idą rozmowy
O tem, o owem, wesołe, poważne,
Dowcipne czasem tak, jak są też głowy
Obywatelskie, lekkie albo ważne
Jedni o zbiorach, o siewach, podatkach,
Drudzy o ładnych pannach i mężatkach.
Tam się, jak w zwykłe na Litwie kiermasze,
Nie jeden handel i facyendka utnie,
Umowy idą o łąki i pasze,
Godzą się stare, rodzą nowe kłótnie,
Lecz przedewszystkiem wszędzie czuć się daje
Pasyjka końska, ta czysto szlachecka,
Za którą nieraz człowiek siebie łaje,
A wciąż jej jednak ulega od dziecka,
Bo przy okazyi jakżeż po staremu
Nie zajrzeć w zęby siwce lub gniademu?
A jest tam koni dosyć wszelkiej maści,
I wszelkiej miary, rasy i gatunku,
Bo i stajennych jest sztuk kilkanaście,
A bronowłoków to już bez rachunku,
Anglika tylko ani perszerona
Tam nie dopatrzysz, gdyż pierś zdrowa, nogi,
Dobra odsada Mosanie ogona,
I utrzymania koszt nie nazbyt drogi,
Oto co Litwin ocenia w koniku —
A co mu panie po jakimś angliku!
I w ekwipażach nie wielki też zbytek,
Najwięcej bryczki, i to jeszcze stare,
Lecz na codzienny Mosanie użytek,
I nędzne drogi, akurat nam w miarę;
Kabryoletów i amerykanek,
Wykwintnych szorów, moda tam nieznana,
A jak zajechał ci panie pod ganek,
To od chomontów lub szlei do furmana

Zdaje się hołysz ostatni być musi,
A patrzaj tylko, jak bilety dusi!
I widać zaraz tam, gdyby na dłoni,
Kto w interesach dobrze lub źle stoi,
Bo i na Litwie niechaj Pan Bóg broni,
Jak każdy człeka gołego się boi,
A jak poważa takiego, co czuje,
Że ma tysiączek lub dwa do wydania,
Wie, że nic nie da, nic mu nie daruje,
Jednak mu nisko, najniżej się kłania,
To też patrzajcie, jak tam całą zgrają,
Podkomorzego serdecznie witają!
A podkomorzy też, uważać proszę,
Zna swoją wartość i innych przedziwnie,
Tych wita czule, tych sobie potrosze,
Innym nakoniec ledwie głową kiwnie,
Pawła inaczej, Marcina inaczej,
Inaczej Piotra uścisnął w tej chwili,
Bo pieniądz wszystko zdaniem jego znaczy,
O tysiąc rubli ręczę się nie zmyli,
A słuchać proszę zacnej naszej braci:
— Co mi tam panie ci arystokraci!
Po fizionomii starego Nochima,
Karczmy tej z dawnych lat już arendarza,
Poznać też można, o kim lekko trzyma,
Kogo się lęka, a kogo poważa,
Mały dzierżawca, ekonom, u niego
Nie warci nawet uwagi, lecz zato
Proszę zobaczyć jak podkomorzego,
Tę osobistość na krocie bogatą,
Excepcyonalnym traktuje honorem
Niczem są przy nim sprawnik z assesorem.
Własnego tylko Mosanie dziedzica,
Posesyonata całą gębą zatem,
Traktuje Nochim już nie jak szlachcica,
Ale na równi z tak wielkim magnatem!
Jasny pan temu, jasny pan tamtemu,
Innym zaś Wacan, albo pan króciutko,
Choć zresztą pragnie dogodzić każdemu,
I gotów nawet poczęstować wódką...
Zna stary Nochim, zna świat ten i ludzi,
A podkomorzy folwark ma na Żmudzi.
Ale znać dają z ostępu, że pora
Zacząć już łowy, naprzód więc ruszają
Chłopi, a z nimi strzelców garstka spora
Najpospolitszych, panowie zostają,
Dojeżdżacz konno za obławą rusza
Na czele psiarni ze wszech stron zebranej,
I aż myśliwska raduje się dusza
W oczekiwaniu chwili pożądanej,
To też kto żyje manatki swe zbiera,
Broń opatruje, i torbę przeziera.
Zachodzą wreszcie bryczki, i z kolei
Reszta się rusza, naprzód podkomorzy,
Chwilkę się jeszcze zatrzymując w kniei
Aż się obława zupełnie rozłoży,
Poczem nas łowczy do środka prowadzi,
Stawia w porządku z pomocą leśników
Na długiej linii, każdemu zaś radzi
Nie schodzić na krok z zajętych przesmyków.
Próżna gawęda, jeszcze się nie zrodził,
Ten coby z linii zejść komu przeszkodził.
Jakoż zaledwie pierwsze się ozwały
Zławiania gończych, już się siaki taki
Wysunął naprzód, i wkrótce gąszcz cały
Przed moim nosem zajęły szaraki *)
Tak ja z harapem do tego, do tego,
Dalejże spędzać panów ekonomów,
Pisarzy, szewca i gorzelanego,
— A czy niełaska panowie do domów?
Sposób jedyny, bez szturchańców kilku
Ani ci dadzą pomyślić o wilku!
A tu gon idzie, ostępek błotnisty
Z trzech stron otoczon siećmi i chłopami,
Od strony pola i niziny czystej
Zabezpieczony konnymi szczwaczami,
Wziąć go nie wezmą charty, lecz odstraszą,
I jako tako zatrzymają w pędzie,
Jeśli wilczysko już nie w stronę naszą,
Ale na pole wymykać się będzie.
Oj szkoda, szkoda, tak rzadko się zdarza
Widzieć dziś charta, dobrego wilczarza!
W takich warunkach, jak to, polowanie
Nie bywa długie. Oba wilki stare
Tak zaskoczone zrazu niespodzianie,
Z progenitury zrobiwszy ofiarę,
W przeciwną stronę gonu się rzuciły,
Ale na polu ujrzawszy tłum szczwaczów,
Dalej znów siecie, — fantazyę straciły
Wpadły w wir chłopów, gończych, dojeżdżaczów,
Wreszcie na strzelców, stuk, stuk! lecz najgorzej
Że obu zabił magnat podkomorzy!
Z sześciu młodymi nie długa też sprawa,
Ani się sztuczka w lesie nie została,
A co dziwniejsze, że cała obława
Mało co więcej nad godzinę trwała.
Z gonu psów widać, że pustki już w kniei,
Jeszcze zajączków pomknęło się kilka,
I te ktoś zabił, lecz nie ma nadziei
Aż serce boli, strzelić już do wilka.
Dmą wyciągłego, koniec polowania,
I dążym wszyscy na miejsce zebrania.

(Ciąg dalszy nastąpi).

WSPOMNIENIA
Z ŁOWÓW NA DZIKI

PRZEZ

KAZIMIERZA Hr. WODZICKIEGO.

II.

Nie podlega wątpliwości, że samury proszą się przez siedm miesięcy w roku i hukają w miarę posuwającego się wykształcenia płodu przez tyleż miesięcy. Nie przeczę, że główne hukanie odbywa się w Grudniu, lecz wtedy hukają się stare, wyrośnięte samury, i przyznać musi każdy myśliwy, że wtedy ubijał same duże; w późniejszych miesiącach hukają się młodsze; w zimie na wiosnę, i wyjątkowo w lecie nawet dorastające. Zdarzało mi się widzieć warchlaki moręgowate w pierwszych dniach Marca na mrozie i głębokim śniegu, również w Kwietniu i Maju, a r. 1865 w Grudniu du-

*) Szaraki, szaraczkowa szlachta.

siły moje psy warchlaki nie mające więcej, jak dwa miesiące. Proceder to zupełnie podobny do lochania się swojskich świń niemal w każdej porze roku. Że swojska świnia w ciepłym chlewie, przy dostatniem pożywieniu, pędzoną bywa gorącą krwią do knura, dziwić się nie można, lecz jak samura w głębokim śniegu i srogich mrozach, o chłodzie i głodzie, hukać się, a później warchlaki wyżywić i ogrzać zdoła, to zaiste pojąć trudno. Sambym temu nie uwierzył, gdyby mnie doświadczenie stanowczo w tym względzie w mojem mniemaniu nie utwierdziło. W państwie Podhajeckiem, majętności księżnej Marceliny Czartoryskiej, z obszernymi lasami, w których w swej łaskawości pozwoliła mi polować, w ostatnich dniach Lutego r. 1851 przybiegł niezmordowany Fedzio, i oznajmił, że gruby odyniec leży w młodej dębinie, kawałeczku, nie wynoszącym 15 morgów. Tropiciel mówi: „nie potrzeba puszczać psów. ja go sam na panów wygonię“. Stajemy na linii w sześciu myśliwych, a od leśnych łąk rozstawiamy naganiaczy, i zamykamy hermetycznie miot. Fedzio idzie za tropem, i woła: „pilnuj dzika!“ my widzimy cień czarny, słyszymy głosy naganiaczy, i ta scena się kilkakrotnie powtarza. Widocznie zwietrzył nas dzik, a uderzał na nagankę, lecz krzykami odparty w kółko po tym lesie chodził może przez godzinę, pomimo skomlenia psów na drążkach trzymanych. Sprzykrzyła mi się ta reprezentacya tem więcej, że Fedzio objawił niemożność dalszego prześladowania śladu, bo dzik trop w trop chodził. Wtedy mówię do Fedzia: „Na prawo niech zachodzą chłopcy, a my na lewo zajdziemy, i znowu miot zastąpimy“. Dzik był kilka razy w odległości strzału przy naganiaczach, ale na myśliwych nigdy nie wytknął. Przy tym strategicznym manewrze określił dzik sobie sytuacyą, pędem rzucił się na psy, przeskoczył jednym susem drogę i tarninę, przestrzeń wynoszącą 15 stóp, przebiegł pole i łąkę, skoczył przez rzeczkę i dotarł do gęstwiny na górze zwanej: „Baba“. Puszczono psy, ja siadłem na konia, i chcąc mu drogę zaskoczyć na żyłkach parowów, pędziłem drogą pod górę, nie spuszczając z oczów dzika, skubanego przez psy. W tej chwili widzę przewracającego się potwora i całą psiarnię na nim, a po dobrej dopiero chwili usłyszałem strzał. Ubito dzika, więc pospieszyłem na miejsce, i przekonaliśmy się, że ten gruby dzik była samura na oprosieniu. Niepojęta to siła w tych zwierzętach z żadną do porównania, miała bowiem w sobie trzynaście dużych, ruszających się i szczeciną pokrytych prosiąt, z tym ciężarem potrafiła skoczyć 15 stóp szerokości, i rzeczkę przesadzić. Za dzień lub dwa byłaby na świat wydała trzynaście sztuk konsolacyi.

Dwa zdarzenia nader nie miłe nawet w wspomnieniu, wyleczyły mnie radykalnie na całe życie z chęci strzelania szpiczastemi kulami ze sztućca. Przekonałem się kilkakrotnie, że szpiczasta kula jakby srót przez szybę, nie tłukąc jej, przeszywa zwierzę, a gdy na kość nie natrafi, wylatuje szpiczastym końcem, tworzy wchodową i wychodnią ranę nader małą, która podczas silnego mrozu ściąga się do tej objętości, że możnaby posądzać o strzał lotką. Zdarzało mi się nawet w srogich zimach widzieć i prześladować dziki celnie strzelone szpiczastemi kulami, a ledwie znaczące farbą tropy swe tak dalece, że bez psów nie były do wzięcia. Nie wątpię o śmiertelności rany, lecz nie doraźnej, i doświadczenie mnie nauczyło, że dzik z raną między przedniemi żebrami przeszedł cały rewir milowej długości, obległ dopiero w sąsiednim, i był dla mnie stracony.

W r. 1852im polowałem jeszcze z ogarami, między którymi dwa małe Spiewak i Mrówka namiętnie goniły i prześladowały dziki pojedyncze, a tchórzyły przed stadem, na zaczepne jednak działanie nigdy się nie odważyły; posiadały jeszcze i tę wadę, że opuszczały dzika, i goniły lisa, a nawet zajączek je skusił na kilka chwil, wprawdzie powracały do dzika, lecz tymczasem tenże uchodził, i trudno już go było dojść. Nie będę opisywał zawodów, trudów i niepotrzebnych marszów z powodu moich, niewiernych tropowi, psów, zawsze mi one znakomite usługi oddawały przy postrzelonych dzikach.

Na głębokim śniegu goniono dużego dzika na kilkoletnim zrębie, ja stałem na uboczy nad żyłką parowku. Zdaleka widzę zbliżającą się czarną postać za gazową kurtyną okiścią obielonych krzaków, i niebawem wychodzącą na linię, a gdy do jej połowy doszła, stanęła i rozglądała się nie patrząc wcale na mnie. Byłem złożony, więc wymierzyłem w komorę spokojnie, i strzeliłem. Dzik skoczył, i znowu wolnym krokiem zbliżał się do gąszczu, wtedy strzeliłem po raz drugi. Dzik uszedł. Moje zdziwienie, bliskie osłupienia, ubezwładniło mnie zupełnie, i stałem nieruchomy, nie nabijając sztućca, pojąć bowiem nie mogłem ujścia dzika po moich dwóch strzałach. Mój sąsiad przybiegł twierdząc, że zwierz niezawodnie był trafiony, i począł szukać kul. Wtedyto kule były przy grubszym końcu owinięte przędziwem i nasmarowane tłuszczem. Znalazłszy jedną, pokazał mi na sznurku nieco słoniny z dzika, druga leżała za tropem w wysokości jego. Miałem dostateczne dowody, że zwierz dwa razy przestrzelony, poszedłem za tropem, i ujrzałem drobne kropelki farby, powróciłem więc do towarzystwa zachęcając je do dalszego polowania bezemnie, sam zaś wziąwszy psy na swory, poszedłem za dzikiem prosząc, aby nikt za mną nie szedł, i nie przeszkadzał mi w pogoni. Uszedłszy co najmniej ćwierć mili, przekonałem się, że dzik wolnym ale równym krokiem posuwa się dalej, nie staje i nie zalęga, z łatwością przebywa parowy ze spadzistemi ścianami, i już zupełnie nie farbuje. Bardzo mi się markotno w duszy zrobiło, stanąłem, otarłem pot z czoła pomimo, że lodowate powietrze mnie otoczyło, i namyślwszy się przez chwilę, puściłem moje psięta na trop. Poszły sznurem za tropem, i już po kilku minutach usłyszałem naszczekiwanie w oddaleniu na szczycie pagórka. Niepospolite było zadanie drapać się pod górę po głębokim śniegu, z trąbką, torbą, ze sworami i z ciężkim sztućcem, przystawałem co chwila, aby miejsce gonu psów sobie oznaczyć, i podług ich głosu dalszy mój pochód kierować. Niestety naszczekują w tem samem miejscu, więc się gramolę do góry, i zbliżam do osaczonego dzika — jeszcze kilkadziesiąt kroków, a zdążę na strzał. Złudna nadzieja! Lubo widzę rojące się pieski i dzika śród staropniowych buków, jakby za chmurami, czuję, że ani tchu, ani sił już mi nie starczy. Oparłem się o drzewo, i rozkoszuję w widoku tej zabawnej utarczki, a gdy odpocząłem, i wysunąłem się zpoza buka, dzik z psami truchtem zbiegł na dół, i począł się drapać pod ubocz drugiej góry. Jedynie ci pojmą moje usposobienie w takiej chwili, którzy przez szereg długich zim podchodzili gonione przez psy dziki, bo wiedzą, co to jest zmęczenie bliskie omdlenia, a zarazem zawziętość w prześladowaniu potęgująca się coraz bardziej. Zgrzytnąłem zębami, wykrztusiłem kilka nie bardzo przyzwoitych wyrazów, odpocząłem chwilkę, a słysząc naszczekiwanie na przeciwnej górze, zbiegłem na dół, i począłem się znowu drapać do góry dochodząc coraz bliżej do dzika, stojącego w łaciastym lesie. Wreszcie, o błoga chwilo! podchodzę zwierza na 30 kroków, stojącego spokojnie śród tańcujących wokoło psów. Z rozwagą wypocząłem, aby się krew uspokoiła, i ręka już nie drgała, oparłem więc sztuciec o młodego graba, wymierzyłem doskonale, i strzeliłem. W tej chwili z szumem i ze świstem szczególnym widzę pod nogami memi dzika, nie pozostawało mi nic

innego, jak chwycić się rękami jak najwyżej drzewka, podskoczyć i podnieść nogi. Wykonałem szczęśliwie tę sztuczną gimnastykę, i zdawałoby się myśliwym, że dzik chybiwszy straszliwą szarżę pójdzie dalej. Niestety przeciwnie się stało, odwrócił się, zbliżył do drzewa, począł tupać nogami jak w stępach, kłapać zębami i pienić się. Moje położenie było zaiste politowania godne, gdyż grabczak mój grubości łaty począł się coraz bardziej uginać pod moim ciężarem, i chylić ku ziemi. Jeszcze dwie minut, a byłbym na wysokości ryja dzika. Na moje nieszczęście, pieski znudzone dwugodzinną pogonią, zobaczywszy wymykającego z parowka zająca, puściły się za nim, a ja nie rzuciwszy sztućca, byłem do drzewa gnieciony i miałem jedną rękę ubezwładnioną, więc konwulsyjnie trzymałem się drugą i nogami, lecz czułem, że tego wysilenia dłużej nie wytrzymam. W podobnych razach nasuwa się myśl ratunku, a cały umysł wytęża się w tym kierunku, ja w tej groźnej chwili pragnąłem dostać się do grubej osiki w pobliżu stojącej. Gdy już prawie ostatnia chwila dla mnie nadchodziła, a potwór z pod drzewa nie ustępował, nadbiegł mój Spiewaczek, spiął się na dzika, i ukąsił go w zakręcony ogonek, dzik uderzył na psa, a ja ze zręcznością wiewiórki zeskoczyłem z graba, pobiegłem za osikę, schowałem się za nią, nabiłem sztuciec, i powaliłem mego napastnika. Musiało być źle ze mną, bo gdy na strzał powtórny nadeszli moi towarzysze, słowa wybąknąć nie mogłem. Wprawdzie ostatnia kula trafiła w serce dzika, i zadała śmierć, ale pierwsze przeszyły komorę przez wyższe płuca, a pomimo tych celnych strzałów chodził dzik przez trzy godziny, i o mało nie ja jego, lecz raczej on mnie nie zabił.

Drugi epizod zapewne mało któremu myśliwemu się wydarzył, i nie każdy doznał podobnego zmęczenia. Zdarzają się wypadki, których zaiste przewidzieć nie można, i kto ich nie doświadczy, ten zaledwo je zrozumieć zdoła. W rok po opisanym fakcie, psy i myśliwstwo moje zabłąkało się w rozległych lasach Szumlan, Litwinowa i t. d., ja zaś nie mogąc się zorjentować, wraz z starym leśniczym, pozostałem na końcu w lesie. Wtem nadchodzi tropiciel i powiada nam, że odyniec leży w miocie przed nami, że on go sam na nas wypędzi. Uśmiechnąłem się z niedowierzaniem, ale przyjąłem propozycyę leśnego pomimo, iż przestrzeń miotu wynosiła najmniej 60 morgów, przerżniętych głębokiemi debrami, i wymagała kilkunastu strzelców. Fedzio mnie stawia na pochyłości góry pod osiką, a leśniczego prowadzi o kilka tysięcy kroków dalej, mówiąc, że tędy lub tamtędy wyjdzie, i że nigdy żadnem innem stanowiskiem nie wychodzi. Przywiązałem konia do drzewa, stanąłem pod osiką, i oparłszy się smętnie rozglądałem się po tej lesistej przestrzeni, zakrywającej całą widownię. Było koło południa, gdy po raz pierwszy Fedzio wilczym głosem zawołał: „pilnuj dzika! Od czasu do czasu powtarzało się owe nawoływanie to bliżej, to dalej, a ja skamieniały w oczekiwaniu, od mrozu skostniały, stałem pod osiką, istna ofiara Diany. Było to w Styczniu przy jaskrawem słońcu. Widząc bledniejące światło wniosłem, że to już dzień chyli się ku wieczorowi, i dobywszy zegarka dostrzegłem dobiegającą już czwartą godzinę. Stałem więc przez cztery godzin nieruchomy pod drzewem, nic nie widziałem, ale podtrzymywał zawsze żałośny głos tropiciela. Każda cierpliwość ma swój kres, więc też i moja wypowiedziała posłuszeństwo, zeszedłem ze stanowiska, wsiadłem na konia, i wolno dążyłem do mego towarzysza. Gdy już się ku niemu zbliżałem, on machnął ręką, i wskazał dzika w gąszczu, a w tej chwili leśny zawołał w pobliżu: „pilnuj dzika!“ Powróciłem do mego drzewa, i zająłem posągowe me stanowisko. Po kilkunastu minutach wychyla się odyniec z gąszczu, a spostrzegłszy mnie, pędzi ku drzewu, przy którem stałem. Wygiąłem się jak glista, a gdy mnie minął, nie dotknąwszy mych nóg, wymierzyłem i kłapnąłem do dzika na kroków siedm. Na odgłos pękającego kabzla dzik stanął, a ja drugim strzałem powaliłem go, ale przewraca się, wstaje, pada, i coraz dalej uchodzi. Trąbię, wołam, nikt nie nadchodzi, a ja ze wzruszenia zapominam nałożyć świeży kabzel, aby dobić odyńca, i lufą go przytrzymuję gdyby żak, nie znający niebezpieczeństwa. Tak posuwając się razem, weszliśmy do gąszczu nad parów, do którego mój dzik się stoczył. Stałem jakby zaczarowany, bez przytomności, gdy dwaj moi towarzysze nadeszli. Wysłuchawszy moje opowiadanie, uchwalili zostawić dzika, i wziąć go nazajutrz. Zamiar a urzeczywistnienie jego nie zawsze po sobie następują, tak się też i teraz stało, bośmy musieli podążyć do leśniczówki, a śnieg gęstymi płatami spadający towarzyszył nam. Nazajutrz zaledwie brzask rozpędził ciemności nocy, już byłem na koniu, a Fedzio idąc z psiarczykiem i psami pocieszał mnie zapewniając, że dzik z parowu nie wyjdzie. Wprawdzie śnieg przestał padać, lecz drzewa pochylone pod ciężarem wilgotnym broniły przejścia. Zamiast podchodzić z nakrytymi zamkami, ja w tym dniu, pod nieszczęśliwą gwiazdą, pchałem się na koniu w gąszcze, i gdy dotarłem do debry, byłem zupełnie przemoczony, i już dalej mego konia przeć naprzód nie mogłem. Zostawiwszy mego Siwka, kazałem puścić tropowca do parowu. Niebawem naszczekał, puszczono jeszcze cztery psy, i poczęło się hałaśliwe ujadanie na jednem miejscu. Podszedłszy kilkanaście kroków, ujrzałem widowisko zazdrości godne: odyniec krwią zbroczony, uginający zad, chciał się z debry ścianą wydobyć, i ile razy się ku górze posuwał, psy go ściągały na dół, gdzie się kłami bronił, nie miał jednak już siły uderzenia na psy. Wymierzywszy spokojnie, kłapię na 15 kroków z jednej lufy, dzik na mnie spojrzał krwawemi oczami, wtedy kłapię z drugiej, zrzucam kabzle, nakładam świeże, kłapię dwa razy, podsypuję świeżym prochem, i kłapię znowu, a dzik z psami dalej manewer najpociesznięjszy odbywa. Kordelasa nie miałem, i kłucie rozjuszonego zwierza nie byłoby bezpiecznem, gdyż moje psy wprawdzie szarpały dzika, lecz go nigdy nie przytrzymały na miejscu, a tu na moje nieszczęście żaden z mych myśliwych nie nadchodził. Wreszcie dzik z wysileniem wyciągnął dwa psy na ścianę, na równym terenie, otrząsł się, i pomału znikł mi z oczów. Nie było po co gonić, bo moje lufy były bardziej podobne do sikawki, jak do broni. Zjawili się nareszcie myśliwi, i z wielkiemi trudnościami pomogli mi wystrzelić. Nabiwszy sztuciec, zachęciłem do pogoni, a zapomniawszy o wiernym moim koniu, przebałowałem się pierwszy przez parów pieszo, i szedłem tropem dzika przez kilka godzin. Psy pomęczone dwukrotną pogonią, co chwila opuszczały odyńca, wracały, i kładły się przed naszemi nogami, jakby chciały powiedzieć: „my już nie możemy gonić“. Gdy dzik już nie był prześladowany, układał się pod kłodami lub tarzał w śniegu. Postanowiłem wziąć psy na drążki i podchodzić po miękkim śniegu zwierza, lecz pojąć nie mogłem, z jakiej przyczyny tak straszliwie dokuczają mi głód i pragnienie, a gdy wyjąłem zegarek, zobaczyłem z przerażeniem trzecią godzinę na cyferblacie, więc pogoń nasza trwała bez przerwy już sześć godzin. Posiliwszy się, poleciłem myśliwym, aby zatrzymali się na miejscu z psami, dokąd nie zatrąbię, a sam poszedłem za tropem. Uszedłszy może tysiąc kroków, ujrzałem odyńca leżącego pod czarną kłodą nieruchomego, a życie jego jedynie w szpiczastych uszach widocznem było. Podszedłem na 50

kroków, i zamiast bliżej przystąpić i celnie strzelić, lub go ruszyć, ja w moim nieszczęśliwym dniu wyrozumowałem arcymądrze, że moja kula przeszyje kłodę, i zabije dzika. Wiernie i sumiennie wykonałem mój niedorzeczny strzał, i kula została w kłodzie, widocznie dla mnie nie dostatecznie zbutwiałej, dzik wyskoczył, i uszedł chybiony. Po moich strzałach puszczono psy, które na drugiej zboczy zaraz ostanowiły dzika, widocznie osłabionego. Wreszcie podszedł jeden z myśliwych, i powalił odyńca. Szpiczasta kula moja przeszyła mu nerki na wylot, a jednak podróż jeszcze odbył śród nieustającej walki. Oto skutki strzelania ze sztućca szpiczastemi kulami! W tej chwili słońce zaszło, i śród staropniowego lasu noc nas zaskoczyła. Pytam moich myśliwych, czy wiedzą mniej więcej, gdzie są, wszyscy bez wyjątku, nawet nasz ostrowidz Fedzio, nie mogli oznaczyć, w czyim są lesie, a ostatni spokojnie mi odpowiedział: „Panie! my szli w jednym kierunku, a po tylu godzinach musimy być w Murzyłowskim lub Brzeżańskim lesie. Ciarki po mnie chodzić poczęły, gdy pomyślałem, że od leśniczówki jestem o cztery mile oddalony. Wtem słyszymy rąbanie drzewa, podkradamy się, a gdy nas chłop zobaczył, począł uciekać, my za nim, oczywiście złodziej, więc łapiemy go, aby dostać języka, najstarszy zaś z nas pilnował chłopskich koni i sani. Chłop się do nóg rzuca, i przysięga, że już nigdy nie będzie ścinał drzewa, żebyśmy mu przebaczyli. Wybadawszy zręcznie złodzieja, dowiedzieliśmy się, że jesteśmy niedaleko Brzeżan, nie pozostało nam, jak chłopu postawić ultimatum, poparte czterma strzelbami: dostaniesz sześć cwancygierów za odwiezienie nam dzika, lub cię oddam do kryminału“. W złodzieja duch wstąpił, całował nam ręce i kolana, pomógł na sanie naładować odyńca, i ruszyliśmy ku domowi, już wtedy zmęczeni nad miarę, bez wódki i chleba. Sprzyjał nam księżyc, gawęda głód głuszyła, i po kilku godzinach pochodu stanęliśmy na tem miejscu, z którego pogoń za dzikiem się poczęła. Wtedyto byłem rozczulony rozumem i wiernością mego konia nie uwiązanego, a od rana stojącego w tym samym gąszczu! Gdy zawołałem: Siwku! on zarżał, i począł ku mnie kroczyć. Biedne stworzenie stojące na mrozie o głodzie przez cały dzień, a znające doskonale drogę do leśniczówki, wiedziało, że je nie opuszczę, i o niem nie zapomnę. Ten mój siwy hucuł miał z dzikami różne przeprawy, i pomimo odwagi i sworności w końcu nawet swojskiej świni bać się począł. Gdyśmy zaświecili w leśniczówce, biła pierwsza godzina nocna, a nasza pogoń i powrót trwały szesnaście godzin bez odpoczynku i pożywienia. Ten epizod dowodzi, że siły myśliwego podtrzymywane namiętnością, bywają zdumiewające. (Dok. nast.)

KORESPONDENCYE.

Olejów, 4 Stycznia 1880.

Bawiąc w Dolinie w drugiej połowie Grudnia 1879 roku słyszałem opowiadanie od naocznych świadków dwóch nader ciekawych wypadków, które szerszej publiczności udzielić zamierzam.

W późnej jesieni jeszcze się pasło na podgórzach włościańskie bydło pomimo zimnej słoty; ze stada odłączyła się roczna, czarna jałówka posuwając się ku wzgórzom lesistym, nie przeczuwając czekającego na nią nieszczęścia. Wobec pastuchów i pastuszek wychyla się z lasu sęp płowy *(Vultur fulvus)*, okrąża jałówkę, podnosi się i przez chwilę pławi w powietrzu, poczem pionowo szybkim lotem spuszcza się, siada na grzbiecie jałówki, i poczyna gdyby młotem bić swym silnym dziobem pomiędzy różki bydlęcia. Spłoszone stworzenie poczęło uciekać w krzaki, lecz wróg, gdyby cień śmierci, towarzyszył jej do chwili, w której potknąwszy się na kamieniach upadła, i widocznie zadanymi ciosami odurzona, już się podnieść nie mogła. Drapieżny ptak jeszcze kilka razy uderzył ją w głowę, zeskoczył, i w jednej chwili wydobył wnętrzności, szarpał je dzióbem, a przytrzymywał szponami, gdy tamtejszy leśny nadszedł uzbrojony w strzelbę, i powalił szczęśliwym strzałem ptaka. Działo się to na gruncie Suchodolskim. Znając silne lecz tępe pazury sępa, nie mogące się wbić w mięso, jak szpony orłów, podziwiać muszę siłę ścięgaczy w nogach i tę determinacyę, z jaką pokonał swą ofiarę. — Bawiąc przez lat kilka w Szwajcaryi i Sabaudyi, a czyniąc ornitologiczne i myśliwskie wycieczki, nieraz widywałem owce, kozy i cielęta poszarpane przez sępy, opowiadano mi też, że się rzucają na sarny i kozice, terroryzując takowe i wyrządzając znaczne szkody, również czytałem liczne opisy podobnych napadów przez orłosępy (Gypaëtus), rzucające się w głodzie i na większe zwierzęta; lecz u nas obadwa gatunki sępów do tej chwili zbrodni na żywych zwierzętach nie popełniały, szukając wyłącznie ścierw. Wyżej opisany wypadek jest dla mnie wyjątkowem zdarzeniem, i wytłumaczyć się da jedynie zbyt dokuczającym głodem.

Pod Doliną, w lesie należącym do wsi Spas, przebywało spokojnie dziewięć dużych dzików w jednym stadzie, ochronionych głębokimi i niedostępnymi śniegami. Lekko postrzelony, stary niedźwiedź nadszedł do tych lasów, i jak się zdaje będąc w kuracyi, zachowywał się spokojnie przez dni kilka. Lecz głód, to straszliwy nieprzyjaciel i bodziec do różnych zbrodni, on to zmusił niedźwiedzia do szukania pożywienia. Idąc za tropem doszedł do stada dzików, stawiającego mężny opór, lecz niedźwiedź zręcznym manewrem odłączył jedną samurę, i począł ją przed sobą pędzić z lasu po nad wieś, i nagonił na spadzisty brzeg rzeki, gdzie ją doścignął, łapami połamał żebra, i począł wyjadać mięso ze szynek. Tak ogromne były te dwa zwierzęta, że na furach jadący chłopi wołali: „o! jak się gonią byki!“ Usłyszawszy o tem kameralny leśniczy, nie czekając na zebranie swych myśliwych, chwycił strzelbę, kilka ładunków, nadbiegł nad rzekę, i strzelił do biesiadującego niedźwiedzia. Strzał był nieszczęśliwy, a rozjuszony zwierz jednym skokiem zbliżył się do leśniczego, który nie mając już innego ratunku, rzucił się w głęboki śnieg, i starał się w nim skryć. Gdy niedźwiedź łapami szukał swej ofiary w śniegu, nadbiegł leśny, i strzelił do stojącego niedźwiedzia, tenże porzuca leśniczego, biegnie do napastnika, który się również w śnieg rzuca, i byłby go z pewnością potargał, gdyby nadbiegający praktykant leśny z przeciwnej strony nie spłoszył był strzałem niedźwiedzia. Zwierz pomimo głodu i gorączkowej drapieżności, widząc się oblężonym, począł uchodzić do przyległego lasu z lekką raną. Myśliwi w niepospolitem wzruszeniu zabrali do domu ogromną samurę szczęśliwi, że bez szwanku z tej walki uszli.

Jestto trzeci w moim pamiętniku myśliwskim zanotowany wypadek, w którym niedźwiedź pokonał dzika, — w dwóch pierwszych odbyła się walka z odyńcami. *K. W.*

Z Jazłowca — do „Łowca!“

Zacny panie Redaktorze!
Z wielką trwogą i w pokorze
Ślę do „Łowca“, moje wiersze,
Pierwsze w życiu, ręcze pierwsze.

Opisuję nie dla sławy,
Lecz dla waszej li zabawy,
A i sobie ulżę może,
Gdy wam serce me otworzę,
Bom i ja, jak każdy stary,
Gadatywus jest bez miary,
Z drugiej strony pewnym tego,
Żeście zrazu już poznali
Wnet przez skórę myśliwego,
Zapaleńca, i tam dalej,

Otoż było to w podróży,
W czas zadymki, mrozu, burzy.
Droga wiodła za okopem
A jechałem wtedy chłopem —
Wtem ten krzyknie: Ej! lis panie!
I zatrzymał w pędzie sanie.
Więc z pospiechem i w mozole
Ja z siedzenia się gramolę,
Zrzucam szybko baranicę,
I porywam za rusznicę,
Potem chyłkiem i na brzuchu.
W niewygodnym nader ruchu,
Pełznę cicho i z ostrożna. —
Lecz czyż z losem walczyć można!
Gdy tak składam się z ukosa,
Rowem. krzakiem, — gdzie lisiura,
Wtem *smyrk* zając mi z pod nosa,
Zając mówię, *in natura*,
Ot gorączka! chociaż czuję,
Że nie trafię i spudłuję,
Niewiem, jak się już to stałe,
Dość — strzeliło, spudłowało,
A lis kitę wzniósł do góry,
Wyszedł cało z awantury.
A niechaj cię spalą kaci!
I człek przemarzł, i czas traci,
Więc do sani.— mina rzadka,
A chłop śmieje się z ukradka.
Myślę sobie: Hubert w niebie,
Kpi też sobie pewnie z ciebie.

Masz zdarzenie tak, jak było,
Można wierzyć lub nie wierzyć,
Lecz czy sądzisz, że tak miło,
Swe nieszczęście w świecie szerzyć?
Więc ci daję radę zdrową,
Nie debatuj — wierz na słowo.
Próżność panie nie zaleta,
Ma ją każdy wierszokleta,
I też każdy pewny tego,
Że najlepsze wiersze jego.
Lecz ja tworzę tu wyjątek,
Wiem, że koniec i początek
Nie najlepszy, a więc trudzić
Nie chcę siebie, drugich nudzić,
lecz:
Każdy czyni to, co może,
Przeto panie Redaktorze
Drukuj wiersze, gdy co warte,
Jeśli złe, to mi rozdarte
Przyślij pocztą do Buczacza.
Mój posłaniec wciąż tam wkracza,
Notabene *incognito*,
Gdy poecie głowę zmyto,
I zwrócono jak zły fant,
List z napisem *poste-restante*.
Mój adresik: Pan Nudnicki
Z łaski Bożej ksiądz unicki,
Albo lepiej tak po prostu,
Bez tytułu prosto z mostu:
Krótko ot: Nudnicki Jan,
Dobrodziej i niby Pan.

P. S. Gdy znajdziecie w mych wierszach i sens i osnowę,
Pisać będę do „Łowca" jeszcze wiersze nowe.

Poznań, 5 Stycznia 1880 r.

W noworocznym numerze „Łowca" czytam opis jazdy oklep na dziku (?) w Nowosielicy. Chociaż w ogóle z opisów polowań na dziki w Galicyi widzę, iż natura tych dzików łagodniejsza od dzików puszcz litewskich — przestroga nie zawadzi, i nie radzę naśladować zdarzenia jazdy oklep na dzika, bo nie zawsze się to udaje, jak następny przykład stwierdza. Polując bardzo często na dziki na Polesiu litewskiem, gdzie na całą Polskę najśmielsi i najdoświadczeńsi Poleszucy myśliwi, zdarzyło się, że ranny dzik przez kilkadziesiąt psów na miejscu był oszczekiwany Jeden z doświadczeńszych i tęgich strzelców pierwszy doskoczył, ale pojedynka nie dopisała, zawiodła, rzuca więc strzelbę i z tyłu wskakuje na dzika, chwyta za uszy i krzyczy, by mu podano noża, dobiega ksiądz, ale boi się przystąpić, doskoczyłem ja, i z tyłu między psami a borykającym się strzelcem Potapem udało mi się tak dostać, że z rewolweru w same ucho dwa razy strzeliłem, i dzik padł. Ale co za smutny widok! Strzelec Potap, który miał grube buty po pas i dwoje wełnianych szarawar, na raz czuje w bucie ciepło. a potem omdlewa, pokazało się, że w czasie dość długiej jazdy oklep, zdołał dzik dwa razy ciąć. Potop przeleżał kilka tygodni, i przez całe życie upadał na nogę. W czasie tego borykania skaleczył mi dzik 13 psów, a kilka śmiertelnie. Jako doświadczony w polowaniu na dziki, nie radzę przeto próbować jazdy oklep na p r a w d z i w y m d z i k u. Zresztą w ogóle trzeba dzika respektować. Raz miałem takie zdarzenie. Dzik po strzale padł na miejscu, i ani się ruszył. Strzelec, co go zabił, siadł na nim i lulkę sobie zapalił, gawędząc z otoczeniem. To dość długo trwało. Jeden z obławy palnął dzika kijem, lżąc go, dzik się zerwał, obalił siedzącego, i kłem skaleczył rękę, która została bezwładną na całe życie, odskoczył na kilka kroków, i ducha wyzionął. Z warchlakami to co innego, ale co do nich, to szkoda wysiłku, bo i pies ich sam zmoże. Maciora czasem bywa też bardzo niebezpieczna, bo ranna bez litości gryzie, ale to są uwagi dotyczące natury tego rodzaju zwierza puszcz litewskich — może galicyjskie tchórzliwsze i bez heroizmu.

Adam Lew Sołtan.

Lwów, 7 Stycznia 1880 r.

Z przyjemnością udzielam wiadomości sz. członkom. Tow. łowieckiego, iż w powiecie Brzeskim św. c. k. Starostwo wspólnie z tamtejszą c. k. żandarmeryą bardzo gorliwie się zajmuje ochroną polowania od groźnych dla łowiectwa kłusowników i osób nieprawnie łowy wykonujących. Przedewszystkiem należy podnieść w tym względzie zasługi wielce cenionego, i powszechnie poważanego starosty tamtejszego, pana Pfau'a. Z polecenia jego domaga się posterunek żandarmeryi Brzeski od wyko-

nujących polowanie, jakoteż od spotykanych z bronią w ręku okazania upoważnienia do noszenia strzelby, odbiera je bezwzględnie każdemu, ktokolwiek nie posiada przepisanej Ustawą karty legitymacyjnej, i składa w starostwie. Byłem sam świadkiem jak na polowaniu koło Brzeska 3go Stycznia r. b., na którem także pp. Starosta i komisarz byli obecni, kiedy miano brać nowy miot, nadszedł żandarm, przedstawił się panu Staroście jako pełniący służbę, i zażądał od każdego z obecnych, nie pomijając nawet urzędników Starostwa, okazania karty legitymacyjnej. Opowiadano mi, iż przed rokiem w bezpośredniem sąsiedztwie Brzeska popsuł żandarm pewnego razu całe polowanie, odebrawszy strzelcom, nieposiadającym żądanej prawem legitymacyi siedm strzelb, w skutek czego z powodu braku broni polowanie dalsze zaniechać musiano. W końcu miesiąca Listopada r. z. sprzedano w c. k. Starostwie w Brzesku drogą licytacyi 30 strzelb zkonfiskowanych, większą ich część kowalowi na żelazo, a obecnie, zatem w półtora miesiąca niespełna, znajduje się w biurze Starostwa znowu do 30 sztuk odebranej broni. Wiadomo mi także, iż c. k. Starostwo Brzeskie pociągało do odpowiedzialności kowalów, nieprawnie strzelby wyrabiających i naprawiających, i odpowiednio ich karało.

Przesyłając owe uwiadomienie, upraszam sz. Redakcyę o umieszczenie go w „Łowcu", jeżeli bowiem czasem Władzom obojętność w strzeżeniu Ustawy łowieckiej wyrzucamy. to również winniśmy podnieść z wdzięcznością tak gorliwe poskramianie kłusownictwa. owej plagi racyonalnego i na Ustawie prawnej opartego łowiectwa. *K. Gostyński.*

---

27 Grudnia 1879 r.

Jak hipokryzyą można wywieść w pole myśliwych przebiegłych i ludzi uczonych, niech za przykład posłuży myszołów włochaty *(archibuteo lagopus).* W Nrze 1ym „Łowca" r. z. czytałem oddawane mu pochwały, iż jest on rozbójnikiem wprawdzie, ale wstrzemięźliwym i szanującym prawa łowieckie, że nie ma wyrobionego gustu, i woli myszy niż kuropatwy, że w ten sposób oddaje znakomite usługi rolnikom, a z myśliwymi nigdy nie zostaje w kolizyi. Podobnież pochlebne zdanie słyszałem już przedtem od p. Piotrowskiego, kustosza gabinetu zoologicznego w Krakowie a zarazem doświadczonego myśliwego. Wprawdzie wątpiłem ja trochę w jego gust spaczony i miałem w podejrzeniu tego ptaszka, iż chodzi w owczej skórze, ale milczeć musiałem wobec twierdzeń „Łowca" i p. Piotrowskiego, iż nigdy nie dopatrzono się w żołądkach tych ptaków resztek zwierzyny, nie przypuszczałem przecież, iżby je starannie ukrywać umiały. Przed dwoma laty widziałem go wprawdzie uganiającego za stadem kuropatw, (było to w jesieni, ziemia nie była pod śniegiem, więc głodem nie był trapiony), a strzał mój zapewne przeszkodził, że zwierzyny w jego żołądku nie znalazłem. Przypisywałem to jednak lekkiemu zapomnieniu się z jego strony. Ale niedawno opowiadał mi mój sąsiad p. H. z Krzywkowic, iż widział go unoszącego w szponach kuropatwę, więc powątpiewaliśmy trochę w jego uczciwość. To znowu mówił mi praktykant gospodarczy, który żywność kuropatwom do budek rozwozi, iż prawie zawsze widzi te jastrębie w pobliżu owych schronień. Aż dziś zdaje mi sprawę z objazdu, i pełen oburzenia opowiada, jak był świadkiem już formalnej obławy. Trzy jastrzębie otoczyły budkę, i chciały wypłoszyć kuropatwy, którę się do niej schowały. Nie mogąc powściągnąć oburzenia strzeliłem, i jeden jastrząb został na miejscu. Był to myszołów włochaty. Kazałem otworzyć żołądek, i o zgrozo! znalazłem duże kawałki mięsa i pierza z kuropatwy. To dla mnie jest wystarczającym dowodem jego szkodliwości. Piętnując więc tego zbrodniarza, jak na to zasługuje, zwracam uwagę ornitologów, aby jastrzębiom dawali patenta uczciwości z większą oględnością. Dodać jeszcze muszę, że ptak był okazałej tuszy, cały oblany sadłem, i wątpię, aby się tak utuczył szczęśliwym połowem myszy, których przy śnieżnej zimie na polach prawie nigdy nie widzimy.

St. Lemiesz.

Z radością witamy otwierającą się polemikę w kwestyi naukowej, i chętnie umieszczamy korespondencyę, nacechowaną nieco tonem ironicznym, ale dodajemy, iż spory w kwestyach naukowych nie powinne być osłonione maską bezimienności w obec Redakcyi, często bowiem wynika w takich razach potrzeba osobistego porozumienia się dla wyjaśnienia szczegółów, które są wielkiej wagi w kwestyach naukowych. Z anonimem trudna rozprawa. Któż nam zaręczy, że to istotnie myszołów, którego sz. korespondent jako wybitnego zbrodniarza nacechował? W każdym razie nie możemy odstąpić od naszego przekonania, opartego na badaniu i doświadczeniu, iż myszołów jest ptakiem wielce pożytecznym, i jako takiego zna go też nauka.

KRONIKA.

Radca lasowy p. G. Lettner przesłał nam urzędowy wykaz ubitej w Galicyi w r. 1878 zwierzyny, który sumarycznie wykazuje następujące cyfry:

Z pożytecznej zwierzyny: Jeleni 18, danieli 5, sarn 2992, kozic 0, dzików 718, zajęcy 49.856, królików 12, świstaków 0, głuszców 23, cietrzewi 384, jarząbków 1464, pardw 0, kamionek 0, bażantów 114, kuropatw 11.132, przepiórek 30.084, słonek 8460, kszyków 13.087, dzikich gęsi 223, dzikich kaczek 11.078.

Z szkodliwej zwierzyny: Niedźwiedzi 15, wilków 142, rysiów 5, lisów 4501, kun 371, tchórzów 356, wydr 123, żbików 24, borsuków 211, orłów 156, puhaczów 212, jastrzębi, sokołów, krogulców 3751, sów 1404.

Wykaz ów podaje cyfry z każdego starostwa, z powodu szerokich rozmiarów nie możemy go z żalem w całości umieścić, wskażemy jednak znaczniejsze cyfry ważniejszej lub rzadszej zwierzyny.

Jelenie: Dolina 9, Kałusz 1, Łańcut 6, Nisko 2.

Dziki: Bóbrka 14, Borszczów 20, Buczacz 24, Dolina 22, Drohobycz 30, Kałusz 27, Kamionka Str. 31, Kołomyja 15, Lwów 38, Rawa 20, Skałat 30, Sokal 30, Stryj 23, Złoczów 30, Żydaczów 30, Żywiec 21.

Wilki: Borszczów 4, Brody 7, Kałusz 9, Kosów 13, Lisko 4, Żydaczów 3.

Niedźwiedzie: Bohorodczany 2, Kołomyja 3, Kosów 2, Nadwórna 3, Nowytarg 1, Stryj 3, Turka 2, Żywiec 2.

Rysie: Chrzanów 4, Drohobycz 1, Kałusz 1, Nadwórna 1, Stryj 2.

Żbiki: Brzeżany 1, Buczacz 2, Kolbuszowa 2, Kałusz 2, Łańcut 1, Stryj 2, Tłumacz 1, Żywiec 2.

Głuszce: Kałusz 2, Kosów 6, Limanowa 3, Nadmórna 3, Nowy targ 2, Stryj 4.

Cietrzewie: Chrzanów 153, Kałusz 26, Kamionka 8, Limanowa 40, Nadwórna 16, Rawa 34, Stryj 10, Tłumacz 17, Żółkiew 31.

Bażanty: Husiatyn 25, Łańcut 25, Przemyśl 11, Rzeszów 12, Wadowice 21.

Wykaz taki lubo urzędowy, nie może być bardzo dokładnym, daje wszakże dostateczną miarę stanu zwierzyny w kraju. W rubryce kozic, świstaków, pardw, kamionek widzimy 0, co do dwóch ostatnich wierzymy, ale co do pierwszych i drugich wątpimy bardzo, iżby kłusownictwo już teraz wcale z nich ofiar nie wybierało. Czytelnicy „Łowca" zechcą ów wykaz porównać z wykazem z r. 1876, umieszczonym w pierwszym roczniku „Łowca", z tego porównania dostrzegą z łatwością przybytek pożytecznej a ubytek szkodliwej zwierzyny.

Dnia 3go Stycznia odbyło się polowanie u p. Feliksa Bartmańskiego w Tadaniach. W pierwszym miocie zastano 22 dzików, strzałów do nich padło 37. Pewien myśliwy na jednem stanowisku strzelił 8 razy, zabił cztery sztuki to jest odyńca i 3 warchlaki, drugi zaś dwie sztuki

à coup double. Reszta strzałów była bezskuteczna. Ogólny rezultat polowania: 6 dzików, 4 rogacze i 12 zajęcy — strzałów padło w tym dniu 130.

Polowano u bar. Brunickiego w Lubieniu przez dwa dni. Pierwszego dnia padły 2 dziki, 1 kozioł, 5 zajęcy; drugiego 8 kozłów, 30 zajęcy, 3 lisy. Strzelb 14, strzałów 175. Polowanie prowadził bar. Adolf Brunicki ze znajomością rzeczy, przyczem gościnność gospodarza uprzyjemniała bardzo tę miłą zabawę.

Dowiadujemy się, że w Turzy miał niedźwiedź zabić odyńca — byłbyto bardzo ciekawy wypadek. Prosimy sz. członków tamtejszej okolicy o bliższe szczegóły tego wypadku.

Wysokie c. k. Namiestnictwo w porozumieniu z galic. Towarzystwem łowieckiem postanowiło nie udzielać w tym roku pozwolenia wybijania starych kóz, a to w skutek licznych donoszeń o smutnym stanie sarn w kraju.

Według podania jednego z pism czeskich ubito w r. 1878 w Czechach zwierząt pożytecznych 1,030.020, szkodliwych 66.681. Z pożytecznych przypada na czworonożne liczba 432.957, na ptactwo 597.063, z szkodliwych na pierwsze 18.335, na drugie 48.346. Z ogólnej liczby zabito pożytecznych: jeleni 1365, danieli 1456, sarn 7570, dzików 560, zajęcy 405.440, królików 16.560, głuszców 542, cietrzewi 2676, jarząbków 380, bażantów 33.853, kuropatw 535.147, przepiórek 8911, słonek 3798, kszyków 735, dzikich gęsi 345, dzikich kaczek 10.671, kamionek 2, pardw 2; — szkodliwych: wiewiórek 483, lisów 2899, kun 2489, tchórzów 7057, wydr 157, kotów i łasic 4636, borsuków 614, orłów 23, puhaczów 197, jastrzębi, sokołów i krogulców 38.095, sów 9174, wron i srok 857.

Żurawno, 25 Grudnia 1879 r.

Na polowaniu z psami w lasach Żurawieńskich, odbytem w zeszłym tygodniu, padło 6 dzików, między nimi jeden duży odyniec, zajęcy 13, kozioł 1 i lis 1. Polowaliśmy również w sąsiednim lesie, w Bereśnicy królewskiej u p. Stanisława Pawlikowskiego, gdzie legło rogaczy 7 i zajęcy 18. *T. Chajęcki.*

W Krasiczynie podczas powrotu z polowania na dziki, na którem padł wielki odyniec, zabity przez ks. Pawła Sapiehę, spostrzeżono lisa na polu spokojnie stojącego, jakby urągającego z jadących myśliwych. W znacznej będąc odległości nie przypuszczał, że jest w ręku myśliwych *Express*, i nie zwinął wcześnie kity. Ks. Leon Sapieha, wysiadłszy z sani, ubił biedaka celnym strzałem na miejscu na kroków 330 dokładnie obliczonych. — Nazajutrz było w kniei 16 dzików, z których zabito 2. *J P.*

Bardzo żałujemy, że nie mamy bliższych szczegółów tego polowania, wiemy, że ono tam bywa energicznie i w wzorowym porządku prowadzone.

Skała, 21 Grudnia 1879 r.

Posyłam opis niezwykłego zdarzenia z dzikiem. Dnia 19go t. m. nagónka dochodząc do linii obsadzonej strzelcami oznajmiła, że jest w miocie dzik. Powstał hałas i zwoływanie ludzi, spieszymy na miejsce nawoływania, i zastajemy dzika leżącego z karkiem przebitym na wylot piką leśnika, a dwóch ludzi leżących na dziku i przytrzymujących mu racice. Dzik głowę miał wolną, zresztą leżał bezwładny. Była to maciora z raną od dawniejszego strzału. Gdy się nagónka w miocie do niej zbliżyła, rzuciła się na leśnika, który pchnięciem piką przy samej komorze powalił ją na ziemię, dwaj zaś naganiacze chwycili ją za racice. Leśnik drugiem pchnięciem piką w kark przygniótł ją do ziemi. Strzał za ucho wymierzony położył koniec tej ciekawej scenie. *An.*

Do sz. galic. Towarzystwa łowieckiego.

Niniejszem mamy zaszczyt przedłożyć sz. Towarzystwu dwa egzemplarze statutu, oraz przesłać zapewnienie, iż pragniemy połączonemi siłami dążyć do wspólnego celu. Przyrzekamy również z naszej strony najgorliwszą pomoc Towarzystwu krajowemu we wszelkich działaniach dążących do podniesienia racyonalnego łowiectwa.

We Lwowie, d. 31 Grudnia 1879 r.

Prezes Towarzystwa im. św. Huberta, *Stefan Łoziński.*
Sekretarz, *X. Burzyński.*

W Gwoźdźcu starym u hr. Stan. Dieduszyckiego polowano 3go Stycznia b. r., zabito w 12 strzelb na 140 strzałów 39 zajęcy, 1 lisa; 5go Stycznia w 15 strzelb na 260 strzałów 75 zajęcy.

W Krysowicach u hr. Stanisława Stadnickiego ubito 12 dzików, 25 rogaczy, 21 lisów, 202 zajęcy, orła i puhacza dużego. Podnieść należy z uznaniem wzorowy porządek i serdeczną gościnność gospodarza, który sam z niezwykłą precyzyą i znajomością rzeczy polowaniu przewodził. Stan sarn i zajęcy bardzo bogaty w skutek usilnych i umiejętnych zabiegów właściciela lasów. Wielka atoli klęska grozi tym okolicom, znaleziono bowiem w lasach Krysowickich jakoteż w rewirach okolicznych dotąd kilkadziesiąt sarn zdechłych na motylicę. Niech to będzie przestrogą dla owych właścicieli, którzy dla mniemanych szkód w kulturze leśnej podawali do Władz prośby o pozwolenie wybijania pewnej liczby kóz.

W porze mroźnej i dżdżystej, samice bażancie tracą dosyć często władzę w nogach podczas niesienia się i wylęgiwania jaj. Pewien stary doświadczony leśniczy, który tysiące bażantów wychował, leczył ową niemoc, będącą zarodem paraliżu, w następujący sposób. Brał samicę na rękę, okrywał ją starannie flanelą, i zanurzał w letniej wodzie na dwadzieścia minut, unosząc głowę i ogon ponad wodą. Po trzech lub czterech takich kąpielach, w przerwach jednego lub dwóch dni, bażanty w skutek owych kąpieli i odpowiedniego żeru, do którego domięszał odrobinę siarkanu żelaza, odzyskują siły i lepiej się niosą, jak zwykle. Bażanty złociste, podlegające również owej chorobie w ptaszarniach lub klatkach, mogą być także skutecznie leczone tym sposobem.

Dolina, 15 Stycznia 1880 r.

Dnia 12 b. m. odbyło się niewielkie polowanie w pięć strzelb w Dolińskiem, na terytoryum Łopianka, gmina Grabów, na którem to polowaniu ubito 4 grube dziki, a piątą sztukę postrzelono. Sam fakt byłby mało znaczącym, gdyby nie towarzyszące temu faktowi okoliczności. Odyniec raniony uchodził, a prześladowany ciągłe przez tropowca, szukał największej gąszczy i zatrzymywał się w niej, co umożebniło dwóm myśliwym, leśniczemu i gajowemu, podsunąć się ku niemu na pewną odległość. Raniony ów odyniec, będąc ukrytym w gęstwinie, pierwszy zoczył myśliwych, rzucił się na jednego z nich t. j. na gajowego i zadał mu dwa niebezpieczne cięcia. Zuchwała postawa odyńca zmięszała innych myśliwych do tego stopnia, że żaden nie miał odwagi podsunąć się powtórnie, aby śmiertelnym strzałem ukarać napastnika; dopiero p. Brzostowski, łowczy ks. Adama Sapiehy i hr. Artura Potockiego, przybiegł z odległego stanowiska i bez namysłu rzucił się w gęste zarośla, gdzie jeszcze przez tropowca był odyniec oszczekiwany, i celnym strzałem go powalił. Jako ciekawe zdarzenie myśliwskie muszę tu nadmienić, że niespełna w dwóch godzinach i to w jednym miocie, p. Brzostowski oprócz tego niebezpiecznego odyńca, ubił dwa inne równej grubości jak poprzedni. *Dziennik polski.*

Bilcze, d. 16 Stycznia 1880 r.

Rezultat naszego polowania przez pierwsze trzy dni następujący: 321 zajęcy, 30 rogaczy, 3 dziki, 4 lisy. Z tych wysłano na ławę targową 25 rogaczy, 100 zajęcy. Drugi transport 200 zajęcy wysłany będzie, a możo i trzeci. Zające pozawijane w bibułę. Jutro dalszy ciąg polowania — jeszcze przez cztery dni. Czas przepyszny. *W. S.*

Dnia 16go t. m. zabito u pana Tustanowskiego w Łukawcu w 5 strzelb, w 6 miotach: 4 dziki, między nimi dużą maciorę, 1 kozła, 5 zajęcy, 1 lisa. Dzików było 4 stada.

Dnia 20 Stycznia odbyło się polowanie w Starem-Siole u Excell. hr. Potockiego w 6 strzelb, ubito 13 dzików, z tych ubił hr. Józef Potocki dużego odyńca jednym strzałem z expressa na miejscu, zaś hr. Jan Tyszkiewicz dwie duże lochy ze sztucera repetiera systemu Remingthona. Hr. Tyszkiewicz należy bezsprzecznie do bardzo dobrych strzelców. — Pan Ambroziewicz ubił 4 sztuki mniejsze, 6 sztuk przypada na resztę myśliwych. Dzików było 18. — Zaiste bardzo pięknie strzelano.

Poturzyca, 16 Stycznia 1880 r.

Nadzwyczajnie ciekawym objawem w ruchu zwierzyny w roku obecnym — jest prawie zupełne zniknięcie wilków. Od kilku już tygodni, z wyjątkiem lasów pogranicza rosyjskiego, niewidzieliśmy tropu wilka. Nie wątpię, że zawitają wilki tej zimy jeszcze do nas, lecz teraz teren do swego rozboju obrały zdala od nas. *F.*

Z Podola rosyjskiego.

W lasach Olchowieckich p. Czerwińskiego zabił 30 Grudnia 1879 p. Aleksander Lipski, znany myśliwy, ogromnego odyńca ze strzelby systemu Teschnera śrutem 0 jednym strzałem, na miejscu. Zaiste rzadkie zdarzenie. *Zygmunt Leśniewicz.*

OGŁOSZENIA.

Wydział Towarzystwa łowieckiego zaprasza swych członków na Walne zgromadzenie, które się odbędzie dnia 22go Lutego r. b. o godzinie 10 zrana w Sali Towarzystwa kredytowego ziemskiego.

Porządek dzienny:

Wybór prezesa — i nowego Wydziału.
Wniosek zmodyfikowania ustawy, ochraniającej lisa w pewnej porze.
Kwestya kart myśliwskich *(Jagd-Karten)*.
Wnioski członków tyczące się myśliwstwa.

Do Sekretarjatu galic. Tow. łow.

W odpowiedzi na sz. pismo mamy zaszczyt uwiadomić, że żywe bażanty są do nabycia po 8 do 10 marek:

1. U Zarządu leśnictwa Koppitz na Szlązku.
2. U Zarządu leśnictwa hr. Kińsky'ego w dobrach Chlumetz, w okręgu Icyńskim.
3. U Zarządu dóbr Wartenberg ks. Birona w Kurlandyi.
4. W bażantarni bar. Sauermanna w Karisch pr. Ruppersdorf na Szlązku.
5. U Zarządu dóbr Silberkopf pr. Raciborz, na górnym Szlązku.
6. U Zarządu leśnictwa p. Chrudim ks. Auersperga w Czechach.
7. U Zarządu dóbr Stauding ks. Blüchera na Szląsku.
8. U Zarządu leśnictwa Max pr. Zauditz ks. Lichnowskyego na górnym Szlązku.

Wiedeń d. 19 Stycznia 1880 r.

Niższo-austryackie Towarzystwo łow.

☞ Upraszamy sz. członków pragnących nabyć żywe bażanty o porozumienie się **wprost** z powyższymi adresami.

Odpowiedzialny za redakcyę **Wład. Zontak** ul. Teatralna Nr. 18. Nakładem galic. Towarzystwa łowieckiego.

Z I. Związkowej drukarni we Lwowie, Hotel Zorża.